



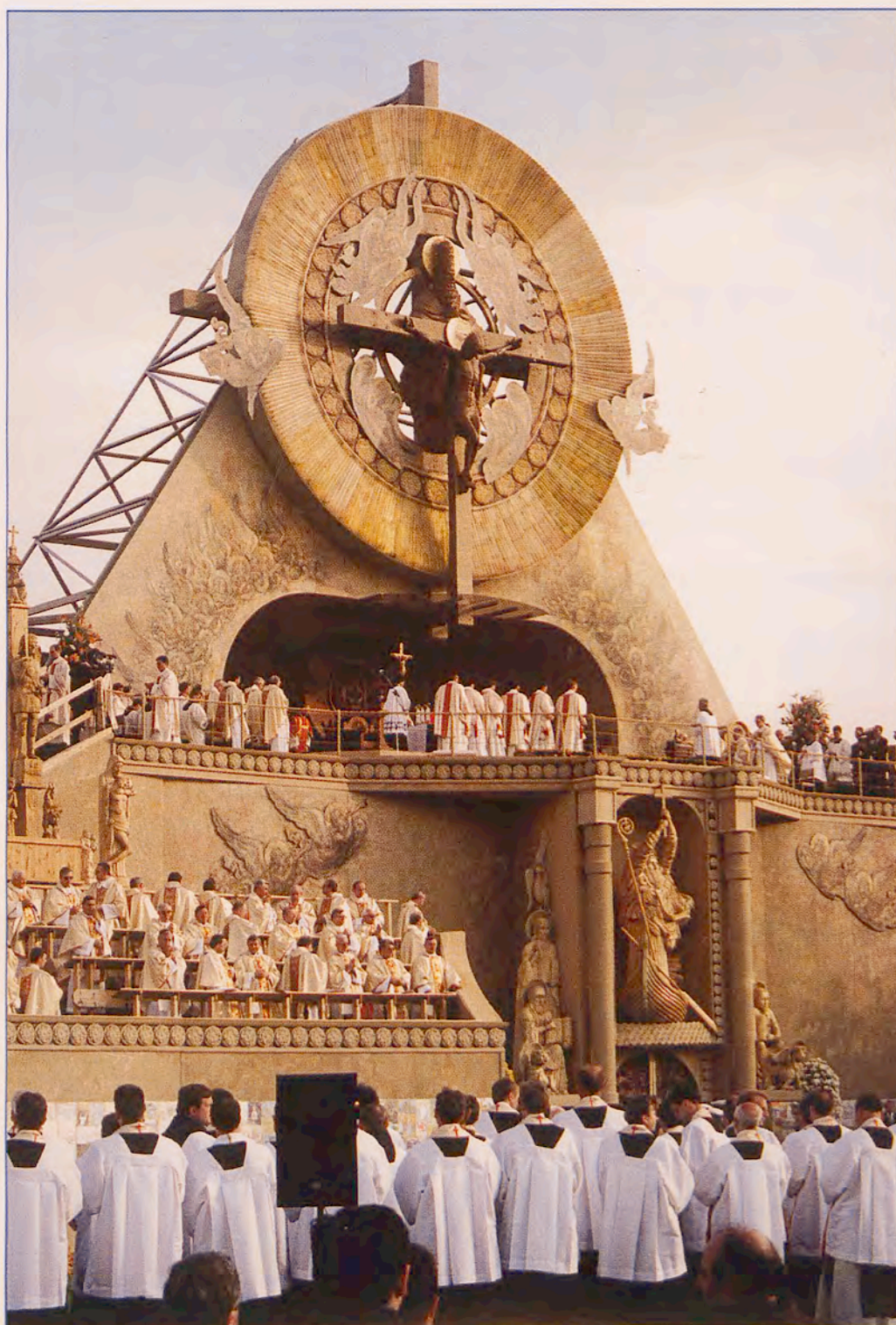
PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

CZERWIEC 1999

ISSN 1429-4494

NR 6 (54)/99 ROK VII



Fot. T. Chmielewicz

Sopot, 5 czerwca 1999 r.



Ołtarz Papieski, 1999 r., detale



Prof. Marian Kołodziej, twórca ołtarzy papieskich w 1987 r. i 1999 r., przeglądający album fotogramów autorstwa T. Chmielowca

"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.
Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,
Joanna Szlączyńska, Anna Szmaja

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stala współpraca:
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szlączyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 21 czerwca 1999 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać w księgarni w Gmachu Głównym

Spis treści

| | |
|--|----|
| Boże, coś Polskę... | |
| <i>Jerzy Sawicki</i> | 4 |
| Rozważania na temat filozofii w świetle encykliki papieża Jana Pawła II <i>Fides Et Ratio</i> | |
| <i>Grzegorz Dąbrowski</i> | 6 |
| Miejsce i rola człowieka w przyrodzie | |
| <i>Monika Skibska</i> | 10 |
| Międzynarodowe sympozjum z hydroakustyki | |
| <i>Roman Salamon</i> | 12 |
| Seminarium na Wydziale Inżynierii Środowiska | |
| <i>Stefan Bednarczyk</i> | 13 |
| 30 lat minęło... czyli kuracja odmładzająca | |
| <i>Jadwiga Lipińska</i> | 13 |
| Złoto dla siatkarki Politechniki Gdańskiej | |
| <i>Ryszard Mikołajewski</i> | 15 |
| Złoty medal dla gdańskiej mistrzyni karate | 15 |
| Krótką rzecz o kalendarzu | |
| <i>Andrzej Jarosz</i> | 16 |
| Inna Gdynia | |
| <i>Krzyszyna Pokrzywnicka</i> | 17 |
| Lech i Czech | |
| <i>Zbigniew Cywiński</i> | 19 |
| Opowieści kreślarniane (9) | |
| <i>Kazimierz Iwanowski</i> | 21 |
| Magister (cd.) | |
| <i>Edward Kaczmarek</i> | 23 |
| Obrazek z urlopu absolwenta | |
| <i>Krzysztof Targowski</i> | 24 |
| Ciepł | |
| <i>Jerzy Kulas</i> | 29 |
| Odleciałeś... | |
| <i>Marek Biedrzycki</i> | 30 |



BOŻE, COŚ POLSKĘ...

BYDGOSZCZ, 3 MAJA 1937

We wrześniu 1936 roku rozpoczęły się lekcje w Szkole Powszechnej przy Miejskim Gimnazjum Męskim (Bydgoszcz, Paderewskiego nr 2), gdzie uczęszczałem do III klasy. W ramach lekcji religii ksiądz prefekt Aleksander Rózek przygotowywał nas do Pierwszej Komunii Świętej, przewidzianej na wiosnę. W niedzielę chodziliśmy na mszę, odprawianą o dziewiątej w naszym kościele "u Klarysek", stojącym przy skrzyżowaniu ulic Gdańskiej i Jagiellońskiej.

Na zakończenie nabożeństwa, stojąc u stóp ołtarza, celebrans prowadził modlitwę za Ojczyznę. Do dziś dnia posiadam tę samą książeczkę do nabożeństwa, z której wtedy korzystałem.

Na stronach 621 oraz 622 zamieszczony jest tekst tej modlitwy, stosowany we wszystkich kościołach katolickich w kraju.

W państwowe święto "Trzeciego Maja" także uczęszczaliśmy w uroczystej mszy świętej. Nabożeństwo kończyło się wtedy odśpiewaniem hymnu "Boże, coś Polskę". Wiosną 1937 r. obchód święta wypadł w dzień powszedni - poniedziałek. Tekst tego hymnu zamieszczony jest w moim mszaliku na stronach 681 i 682.

Uroczyste msze święte przed wojną kończyły się odśpiewaniem początkowych zwrotek tego hymnu. W roku 1816 został napisany przez Alojzego Felińskiego (1771 - 1820). Melodia hymnu jest taka sama, jak popularnej pieśni kościelnej "Serdeczna Matko".

WARSZAWA, 6 STYCZNIA 1940

Na kilka godzin przed wysiedleniem, wczesnym rankiem dnia 16 listopada 1939, wyjechaliśmy do Warszawy. Odbudowa kolei po zniszczeniach nie była jeszcze zakończona, ale późnym wieczorem pociąg dojechał do spalnego dworca Warszawa Główna (w tym miejscu jest teraz stacja Śródmieście). Przenocowaliśmy u przyjaciółek Mamy, a następnego dnia Rodzice wynajeli dla nas jeden pokój na Żoliborzu przy Skwarczyńskiego (ul. Śmiała) nr 12. Zapisali mnie do VI klasy w szkole powszechnej "Rodziny Wojskowej" przy Czarnieckiego 47. Na zajęcia zacząłem uczęszczać od poniedziałku 20 listopada 1939.

Już w pierwszych dniach nawiązałem miły kontakt koleżeński z Markiem Dunin-Wąsowiczem oraz z Jędrkiem Spychalskim. Jego ojciec, zawodowy oficer, przebywał rzekomo w obozie jenieckim - a w rzeczywistości działał w Okręgu AK Kraków. Stryjem mego kolegi był Marian Spychalski, który po wojnie zrobił wielką karierę.

Szkolne msze święte były odprawiane wcześniej niż w Bydgoszczy, bo już o godzinie ósmej. Chodziło się na nie do niedawno wybudowanego kościoła pod wezwaniem świętego Stanisława Kostki, stojącego koło skrzyżowania ulic Felińskiego i Hozjusza. Trzeba stwierdzić, iż pierwsza zima wojenna była niezwykle mroźna: przez parę dni temperatura w Warszawie

wynosiła - 37° C. Wnętrze świątyni nie było ogrzewane i wobec takiego mrozu celebrans ujmował kielich przez serwetkę po to, by uniknąć przymarznięcia ręki.

W święto "Trzech Króli", gdy szedłem do kościoła, było jeszcze ciemno, a silny mróz zmuszał do pośpiechu. Na tę mszę oprócz uczniów przyszło też sporo osób dorosłych, tak że wiele miejsc było zajętych. Celebrans zakończył nabożeństwo krótkim "Ite, missa est" i skierował się do zakrystii. Od czasu kłeski w zmaganiach kampanii wrześniowej wszędzie zaniechano odmawiania modlitwy "Za pomyślność Rzeczypospolitej i Prezydenta".

Na czas wychodzenia wiernych z kościoła organista zaintonował pieśń "Serdeczna Matko" - zaś obecni, wśród głośniego szloch, podjęli tekst hymnu "Boże, coś Polskę". W sposób samorzutny dokonano zmiany refrenu, nadając mu brzmienie

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!*

Podobno okupant dowiedział się o tym wydarzeniu i zakazał wykonywania w kościołach pieśni "Serdeczna Matko". W każdym razie nie przypominam sobie, bym ją słyszał w latach wojny.

GDAŃSK, 3 MAJA 1947

Jako student II roku na Wydziale Elektrycznym Politechniki Gdańskiej, od września 1946 zajmowałem sublokatorski pokój w mieszkaniu numer 3 domu przy ul. Sobótki nr 7. Na mszę świętą chodziłem do pobliskiego kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Świątynia ta faktycznie pełniła funkcję kościoła garnizonowego, bo w niedzielę na godzinę dziewiątą przychodziły w szyku zwartym dwa lub trzy plutony żołnierzy odbywających służbę zasadniczą. Byli to piechurzy z koszar we Wrzeszczu. Po zakończeniu mszy świętej, przed odmarszem do jednostki, na placu koło wejścia do kościoła formowali się znów w plutony.

Początkowe miesiące roku 1947 mogły dawać nadzieję na to, że w kraju zapanuje ponownie system demokratyczny. Rozpisane wybory do sejmu (senat został zniesiony na podstawie ubiegłorocznego referendum) odbyły się w niedzielę 19 stycznia. Przebieg kampanii wyborczej wskazywał wyraźnie, iż

należy spodziewać się sfałszowania wyników wyborów w taki sposób, by zapewnić zwycięstwo "blokowi demokratycznemu". Blok ten utworzyły te partie, które od roku 1944 dzierżyły władzę: Polska Partia Robotnicza (PPR), Polska Partia Socjalistyczna (PPS) i Stronnictwo Ludowe (SL) prezesa Bańczyka. Wybory były obserwowane przez przedstawicieli państw zachodnich, ale nie mieli oni możliwości przeciwdziałania bezprawiu zmierzającemu do stłumienia wpływów opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) prezesa Mikołajczyka.

Bezwstydnym sfałszowaniem wyborów doprowadziło do takiego ukształtowania składu sejmu, iż "blok demokratyczny" dys-



Modlitwa za pomyślność Rzeczypospolitej i Prezydenta.

(We wszystkie niedziele orat w dniu Trzeciego Maja po głównem nabożeństwie.)

| | |
|---|---|
| V. Salvam fac Republicam nostram, Domine. | V. Zachowaj, Panie, Rzeczpospolitą naszą. |
| R. Deus meus, sperantem in te. | R. Która w Tobie, Boże mój, nadzieję pokłada. |
| V. Mitte ei, Domine, auxilium de sancto. | V. Ześlij jej, Panie, pomoc Swoją z nieba. |
| R. Et de Sion tueretur eam. | R. I z Syjonu strzeż jej. |
| V. Nihil proficiet inimicus in ea. | V. Niech jej nie zmóże nieprzyjaciel. |
| R. Et filius iniquitatis non nocent ei. | R. A syn nieprawości niech jej nie szkodzi. |
| V. Fiat pax in virtute tua. | V. Niechaj będzie pokój w mocy Twojej. |

622 Modl. za powst. Replicy i prezydenta.

| | |
|------------------------------------|--|
| R. Et abundantia in turribus tuis. | R. A obrona w basztach Twoich. |
| V. Domine, exaudi orationem meam. | V. Panie, wysłuchaj modlitwę moją. |
| R. Et clamor meus ad te veniat. | R. A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie. |
| V. Dominus vobiscum. | V. Pan z wami. |
| R. Et cum spiritu tuo. | R. I z duchem twoim. |

Modlmy się.

Broń, prosimy Cię, Panie, za wstawiennictwem Najświętszej Marii, zawsze Dziewicy, Królowej Polski, i świętych naszych Patronów, Rzeczypospolita naszą od wszelkich przeciwności, a korzącą się przed Tobą sercem całym, chroń miłościwie od zasadzek nieprzyjacielskich.

Ułóż, prosimy Cię, Panie, słudze Twemu N., Prezydentowi Rzeczypospolitej, niebieskiej Twej pomocy, ażeby całym sercem zawsze Ciebie szukał, i to, o co godnie prosi, otrzymał zasłużył. Przez Chrystusa, Pana naszego. R. Amen.

V. Niech pomoc Boża pozostaje zawsze z nami. R. Amen.

ponował dużą większością głosów. O tym brudnym zwycięstwie wiedzieli praktycznie wszyscy - bowiem chwyt stosowane przez władze były wręcz jawne. Jako przykład można wymienić stosowanie "jawnego głosowania na listę numer 3" - to znaczy na "blok demokratyczny", co pozwalało uniknąć kolejki do urn. Wiele osób o poglądach opozycyjnych w przeddzień wyborów milicja bezpodstawnie aresztowała na dopuszczalny czas zatrzymania (48 godzin). Z posiadanej większości sejmowej władzy korzystali od samego początku: już 6 lutego utworzono nowy skład rządu, gdzie poszczególne teki otrzymały "właściwe" osoby. Celem dostosowania podstaw prawnych do istniejącego systemu władzy - już 19 lutego sejm uchwalił tak zwaną "małą konstytucję". Erygowanie nowej, pełnej konstytucji przeprowadzono dużo później, bo dopiero 22 lipca 1952 roku.

W sobotę 3 maja 1947 poszedłem do kościoła Garnizonowego na godzinę dziwiątą. Po zakończeniu mszy świętej celebrans zatrzymał się u stóp ołtarza, zaś organista odegrał hymn "Boże, coś Polskę". Śpiew podjęli wszyscy wierni. Ja stałem w nawie bocznej, niedaleko drugiego wejścia do kościoła, a w pobliżu znajdowało się wiele osób dorosłych. Wszystkie ławki w nawie głównej były dokładnie zapełnione. Podczas śpiewu wyraźnie słyszałem znaczące różnice w tekście refrenu u poszczególnych osób. Niektórzy wybrali tę wersję, którą słyszałem 6 stycznia 1940 w Warszawie:

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!*

Widocznie uważali oni, że zakończenie działań wojennych nie przyniosło Ojczyźnie wolności. Inni natomiast zdawali się żywić nadzieję, iż dalszego zniewolenia kraju da się uniknąć:

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie!*

Tej formy, którą znałem z lat przedwojennych, nie usłyszałem.

GDAŃSK, 12 LISTOPADA 1989

Nasze własne mieszkanie w spółdzielczym bloku przy ul. Wyspiańskiego 25 objęliśmy w posiadanie 4 maja 1966 r. Prywatnie zorganizowane ułożenie terakoty oraz glazury spowodowało pewne opóźnienie przeprowadzki, ale 16 czerwca, imieniny Aliny, to jest mojej Żony, świętowaliśmy już na "własnych śmieciach". Począwszy od przeprowadzki staliśmy się parafianami kościoła pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli, stojącego przy ul. Mickiewicza. Parafia ta posiada także drugą świątynię pod wezwaniem Świętego Krzyża (popularnie zwaną "małym kościołem"), a położoną przy tej samej ulicy. Posługę duszpasterską prowadzą u nas księża jezuiti.

Kościół został wzniesiony tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej i był wówczas kościołem protestanckim o charakterystycznym rozplanowaniu wnętrza, mającego boczną galerię. W czasie działań wojennych nie ucierpiał, i już

w kwietniu 1945 został przejęty przez ojców jezuitów. Stopniowo, z biegiem mijających lat, przeprowadzili oni odnowę wnętrza, związaną głównie z ubogaceniem wystroju wewnętrznego i wprowadzeniem jasnych barw. Po zakończeniu serii strajków latem roku 1980 w nawie bocznej naszego kościoła stanął krzyż, złożony z nieobrobionych młodych białych brzoź. Krzyż ten poprzednio stał w strajkującym przedsiębiorstwie.

Rok 1989 przyniósł wiele wydarzeń politycznych, odebranych przez społeczeństwo z wielkim zainteresowaniem i stopniowo rosnącą nadzieją na prawdziwe, dalekosiężne zmiany ustroju. Wyraźny przełom dały wybory parlamentarne z dnia 4 czerwca 1989, które doprowadziły do powstania sejmu o wyraźnie zmienionym obliczu. Jako zapowiedź tak bardzo oczekiwanych zmian odebrano utworzenie rządu z premierem Tadeuszem Mazowieckim na czele. Powołanie generała Wojciecha Jarużelskiego na przywrócone stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej nie spowodowało wyraźnie negatywnych reakcji. Nowa ekipa rządowa z powodzeniem zabrała się do porządkowania gospodarki zdeformowanej inflacją i systemem kartkowym.

W niedzielę 12 listopada, jak normalnie, wybraliśmy się na mszę świętą o godzinie dziewiątej, którą odprawiał ksiądz Jerzy Świerkowski, pełniący w naszej parafii funkcję duszpasterza młodzieży akademickiej. Cieszył się on ogólną sympatią parafian. Przy końcu mszy, chyba nawiązując do wczorajszego święta odzyskania niepodległości, stojąc przed mikrofonem przy ołtarzu, zaczął odmawiać "Modlitwę za pomyślność Rzeczypospolitej", tę samą, w której nie dane było mi uczestniczyć od sierpnia 1939 r. Wstrząsającego wrażenia nie umniejszała okoliczność, iż wśród licznie zebranych wiernych tylko niewiele osób potrafiło wypowiedzieć odzewy.

SOPOT, 5 CZERWCA 1999

Telewizyjną relację z przybycia Ojca Świętego do Gdańska nagrałem na kasety wideo, bo to wydarzenie trzeba zachować w domowym archiwum. W godzinach popołudniowych oglądaliśmy mszę świętą, którą Jego Świątobliwość celebrował dla 700 000 wiernych, zgromadzonych na hipodromie w Sopocie.

Moment ogromnego wzruszenia nastąpił przy końcu tego nabożeństwa, gdy świetna orkiestra i wielki chór, razem z wiernymi wykonali hymn "Boże, coś Pol-

skę" z przedwojenną wersją refrenu:

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!*

Dla mnie jest to prawdziwy koniec ponurego sześćdziesięciolecia!

*Jerzy Sawicki
Wydział Elektrotechniki i Automatyki*

Pieśni przygodne. 681

| | |
|---|--|
| V. In resurrectione tua, Christe, alleluia. | V. W zmartwychwstaniu Twojem, Chryste, Alleluja. |
| R. Coelum et terra laetantur, alleluia. | R. Niebo i ziemia radują się, Alleluja. |

Modlmy się.

Boże, który nas doroczną uroczystością Zmartwychwstania Pańskiego uweselasz; spraw łaskawie, abyśmy przez doczesne święta, które obchodzimy, do wiecznych radości dojść zasłużyli. Przez Tegoż Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Pieśni kościelne.

Pieśni przygodne.

Boże, coś Polskę.

1. Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki — otaczał blaskiem potęgi i chwały, — coś ją zasłaniał tarczą Swej opieki — od nieszczęść, które przynębić ją miały: — Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: — Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie.

2. Ty, któryś potem, tknięty jej upadkiem, — wspierał walczących za najświętszą sprawę, — i chcąc

682 Pieśni przygodne.

świat cały mieć ich męstwa świadkiem, — w nieszczęściach samych pomnażał jej sławę: — Przed Twe ołtarze i t. d.

3. Wróc nowej Polsce świetność starożytną, — użyźnij pola, spustoszone łany. — Niech szczęście, pokój na nowo zakwitną, — przestań nas karać, Boże zagniewany. — Przed Twe ołtarze i t. d.

4. Jedno Twe słowo, ziemskich władców Panie, — z prochów nas znowu podnieść było zdolne; — a gdy zasłużył na Twe ukaranie, — obróć nas w prochy, ale prochy wolne. — Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże w dobroci.

1. Boże, w dobroci nigdy nie przebrany, — żadnym językiem niewypowiedziany, — Ty jesteś godzinien wszelakiej miłości, — poszanowania, chwały, uczciwości.

2. Ciebie czczę, pragnę i ważę samego, — nad wszystkie dobra Tyś u serca mego — najwyższe dobro. Tyś w największej cenie — sam jeden u mnie nad wszystko stworzenie.

3. Choćbyś mnie nigdy za grzechy, mój Panie, — nie karał, przecież za-

Rozważania na temat filozofii w świetle encykliki papieża Jana Pawła II *Fides Et Ratio*

W ciągu stuleci filozofowie poszukiwali odpowiedzi na pytania o sens egzystencji ludzkiej, starali się odkryć i wyrazić prawdę, tworząc różne systemy i szkoły. Oprócz tego człowiek próbował wyrazić jakąś swoją "filozofię życiową" za pomocą osobistych przekonań i doświadczeń, przeróżnych tradycji kulturowanych w szerszym lub węższym kręgu. W każdej z tych form zawsze zauważymy pragnienie poznania prawdy absolutnej. Aktywność ludzka w tej dziedzinie doprowadzić musiała w końcu do konfrontacji dwóch ważnych dróg dochodzenia do istoty wszechrzeczy, jaką jest prawda obiektywna. Z problemem relacji między poznaniem intelektualnym a poznaniem religijnym borykają się wszystkie znaczące kultury, w tym również wywodząca się z chrześcijaństwa cywilizacja europejska. W Kościele Katolickim głos w tej sprawie zajmują zarówno świeccy filozofowie, jak i duchowni odpowiedzialni za Depozyt Wiary.

W ponad sto lat od ogłoszenia encykliki Leona XIII *Aeterni Patris*, Ojciec Święty Jan Paweł II podejmuje na nowo rozważania na temat relacji między wiarą a filozofią. Wskazuje na ważność myśli filozoficznej w rozwoju kultury oraz w kształtowaniu zachowań indywidualnych i społecznych. Podkreśla też wartość filozofii z punktu widzenia rozumowego podejścia do wiary, a także wskazuje na ograniczenia powstające wtedy, gdy zapomina się o prawdach Objawienia lub je odrzuca. Papież jest głęboko przekonany o wzajemnej współpracy wiary i rozumu. Współpraca ta przejawia się jako krytyka, oczyszczanie oraz skłanianie do dalszych poszukiwań i głębszej refleksji. Jan Paweł II mówi dużo o wzajemnych korzyściach, jakie odnoszą te dwie dziedziny życia ludzkiego, i przewiduje dalszy ich rozwój na wspólnej drodze poszukiwania prawdy ostatecznej.

Na uwagę zasługuje przeprowadzony w *Fides et ratio* podział refleksji filozoficznej z punktu widzenia jej odniesień do wiary chrześcijańskiej. I tak, Jan Paweł II wyróżnia:

- filozofię całkowicie niezależną od Objawienia ewangelicznego;
- filozofię samowystarczalną;
- filozofię chrześcijańską;
- refleksję filozoficzną, z którą mamy do czynienia wtedy, gdy teologia odwołuje się do filozofii.

Filozofia pierwszego rodzaju zaistniała przed narodzeniem Chrystusa, później występowała w regionach, dokąd nie dotarła myśl chrześcijańska. Filozofia ta kieruje się własnymi prawami, opiera się wyłącznie na zdolnościach rozumu. Refleksja ta jest poszukiwaniem prawdy w sferze przyrodzonej i pośrednio jest otwarta na rzeczywistość nadprzyrodzoną.

Drugi typ refleksji jest wyznawany przez licznych filozofów nowożytnych. Jego zwolennikom nie wystarcza słuszny postulat autonomii refleksji filozoficznej, domagają się oni bowiem uznania samowystarczalności myślenia. Zdaniem Jana Pawła II, pociąga to za sobą odrzucenie bogactwa prawdy płynącego

z Bożego Objawienia i zamknięcie dostępu do głębszego poznania prawdy, ze szkodą dla samej filozofii.

Trzecim typem refleksji jest tzw. filozofia chrześcijańska. Nazwa ta sugeruje utożsamienie z oficjalną filozofią Kościoła, co jest błędne, gdyż wiara nie jest filozofią, a Kościół nie wyznaje żadnego systemu filozoficznego. Ten typ refleksji oznacza raczej chrześcijańską refleksję filozoficzną, "spekulację filozoficzną powstałą w żywotnym związku z wiarą". Filozofia ta nie jest wypracowywana wyłącznie przez filozofów chrześcijańskich, są to raczej "wszystkie ważne kierunki myśli filozoficznej, które nie powstałyby bez bezpośredniego lub pośredniego wkładu wiary chrześcijańskiej".

Jan Paweł II dostrzega tutaj dwa aspekty filozofii chrześcijańskiej: subiektywny i obiektywny. Pierwszy polega na oczyszczeniu rozumu przez wiarę, uwolnieniu rozumu od zadufania, któremu łatwo ulegają filozofowie. Dzięki pokorze filozof podejmuje również takie problemy, jak na przykład zagadnienie zła i cierpienia, tożsamość osobowa Boga, metafizyczne pytania o sens. Nawiązuje tym samym do nurtu arystotelesowskiego, który zapoczątkował nauki filozoficzne dotyczące bytu jako takiego. Drugi, obiektywny aspekt dotyczy samej treści filozofii, która wzbogaca się o praw-

dę Objawioną, o nowe elementy, których rozum pozostawiony sam sobie być może nigdy by nie odkrył. Chodzi tu w szczególności o Boga jako Stwórcę oraz byt osobowy i wolny, o osobę ludzką jako istotę duchową, o godność, równość i wolność każdej jednostki ludzkiej, a także o grzech i zbawienie. Dzięki spotkaniu filozofii z Ewangelią prawo do poznania prawdy stało się powszechne, a poszukiwanie prawdy straciło całkowicie elitarny charakter. Chrześcijaństwo obala bariery rasowe i społeczne, jakie dotąd występowały w świecie. Innym obiektywnym aspektem filozofii chrześcijańskiej jest badanie racjonalności części prawd zawartych w Piśmie Świętym. Refleksje te skłaniają do uznania istnienia prawdy i rzeczywistości racjonalnej, istniejącej poza ciasnymi granicami rozumu. Rozszerzając dziedzinę refleksji, filozofowie nie stali się jednak teologami, pracowali w swojej dziedzinie, stosując czysto racjonalne, filozoficzne metody.

Czwarty typ refleksji filozoficznej wynika z konieczności formowania pojęć i argumentów w teologii. Teologia nie może się obejść i nie obejdzie bez filozofii. "Jest dziełem rozumu krytycznego prowadzonym w świetle wiary", stąd też "podstawą i nieodzownym warunkiem wszelkich jej poszukiwań jest istnienie rozumu odpowiednio wykształconego i uformowanego". Filozofia jest potrzebna także w celu sprawdzenia zrozumiałości i uniwersalności twierdzeń sformułowanych przez teologię. Ze względu na wpływ tej refleksji na rozumienie Objawienia, jest ona bardziej podporządkowana autorytetowi Magisterium. "Prawdy wiary stawiają bowiem określone wymogi, które filozofia musi respektować, gdy nawiązuje relacje



z teologią". W początkach istnienia Kościoła przyjmowano filozofie niechrześcijańskie w celu powierzenia im funkcji wyjaśniającej. Działy one na zasadzie więzi z teologią i nie było specjalnie możliwości ich rozdzielenia.

Kiedy teolog nie chce posługiwać się filozofią, istnieje realne niebezpieczeństwo, że będzie on "uprawiał filozofię nieświadomie i zamknie się w strukturach myślowych mało przydatnych do zrozumienia wiary". Z drugiej strony, gdyby "filozof odrzucił wszelką więź z teologią, poczułby się zobowiązany do przywłaszczenia sobie treści wiary chrześcijańskiej, jak to uczynili niektórzy filozofowie nowożytni". W obu wypadkach podważane są podstawy autonomii każdej z nauk.

Kościół uznaje więź między teologią a filozofią widzianą w następujący sposób: "punktem wyjścia i pierwotnym źródłem dla teologii musi być zawsze słowo Boże objawione w dziejach, a ostatecznym celem nic innego jak zrozumienie tegoż słowa, stopniowo pogłębiane przez kolejne pokolenia". Pogląd ten wynika z samej natury wiary, która domaga się stawiania wyżej prawd Bożych nad ludzkimi: "trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi". Często jednak dochodziło do nadużyć, na przykład w formie fideizmu, czyli kwestionowania naukowej wartości argumentacji za istnieniem Boga i powoływania się wyłącznie na Objawienie. Właściwie przeprowadzona refleksja filozoficzna przyczynia się do lepszego zrozumienia prawd objawionych. "Istotne jest, aby rozum osoby wierzącej wykorzystywał swoją zdolność do refleksji w poszukiwaniu prawdy, w ramach procesu, który wychodząc od słowa Bożego zmierza do lepszego zrozumienia tego słowa". Z drugiej strony, "filozofia zostaje wzbogacona, ponieważ rozum odkrywa nowe i nieoczekiwane horyzonty". O dodatkich walorach koegzystencji tych dwóch dziedzin zaświadczyć mogą postaci słynnych teologów chrześcijańskich, których uważa się zarazem za wybitnych filozofów. Wymienić tu należy m. in. św. Grzegorza z Nazjanzu, św. Augustyna, św. Anzelma, św. Bonawenturę, św. Tomasza z Akwinu. W bliższych nam epokach są to: John Henry Newman, Antonio Rosmini, Jacques Maritain, Etienne Gilson, Edyta Stein, Władimir S. Sołowjow, Paweł A. Florenski, Piotr J. Czadajew, Władimir N. Łoski i wielu innych, którzy skorzystali z boskiego depozytu zawartego w prawdach wiary.

Nawiązując do refleksji filozoficznej stosowanej w teologii, Magisterium Kościoła Katolickiego wielokrotnie chwaliło myśl św. Tomasza z Akwinu i stawiało go za wzór teologa poszukującego prawdy. "W jego refleksji bowiem wymogi rozumu i moc wiary połączyły się w najbardziej wzniosłej syntezie, jaką kiedykolwiek wypracowała ludzka myśl, jako że potrafił on bronić radykalnie nowych treści przyniesionych przez Objawienie, nie łamiąc nigdy zasad, jakimi kieruje się rozum". Wysoko ceni się jego umiłowanie prawdy, oraz to, że zmierzał ku niej bez wahania i potrafił w swoim realizmie uznać jej obiektywność.

Św. Tomasz, nazywany Doktorem Anielskim, gdyż "nie uległ żadnym pokusom", odegrał w historii chrześcijaństwa bardzo szczególną rolę w procesie ukształtowania harmonii poznania filozoficznego i poznania wiary. Udoskonalił, wraz z św. Albertem Wielkim i św. Bonawenturą, zapoczątkowaną przez św. Augustyna naukę scholastyczną. Scholastykom przyświecały hasła: "Uwierz, abyś zrozumiał"; "Połącz, na ile się da, światło wiary i rozumu". W duchu Pisma Świętego i Tradycji wypracowali oni koncepcję rozumowego wyjaśniania treści chrześcijańskiego Objawienia. Gdy w XIII w. odkrywano na nowo filozofię Arystotelesa, wielką zasługą św. Tomasza było ukazanie jej w pełnym świetle harmonii między

rozumem a wiarą. Stwierdził on, że światło wiary i światło rozumu, jako pochodzące od Boga, nie mogą sobie wzajemnie zaprzeczać. Według niego, natura jako przedmiot badań filozofii "może się przyczynić do zrozumienia Bożego Objawienia. Wiara zatem nie lęka się rozumu, ale szuka jego pomocy i pokłada w nim ufność. Jak łaska opiera się na naturze i pozwala jej osiągnąć pełnię, tak wiara opiera się na rozumie i go doskonali". Rozum człowieka oświeconego przez wiarę uwalnia się od ograniczeń grzesznej natury ludzkiej, zyskuje siły do zbliżenia się w kierunku tajemnicy Boga Wszechmogącego. Mimo takiego radykalnego podejścia do zdolności rozumu, św. Tomasz szczególnie mocno podkreślał nadprzyrodzony charakter wiary, nie zapominając o tym, że ma ona też swój rozumny wymiar. Według niego "wiara jest w pewien sposób *czynnością myśli*; ludzki rozum nie musi zaprzeczyć samemu sobie ani się upokorzyć, aby przyjąć treści wiary; w każdym przypadku człowiek dochodzi do nich na mocy dobrowolnego i świadomego wyboru".

Św. Tomasz pragnął ukazać pierwszeństwo mądrości pochodzącej bezpośrednio od Boga, nie zapominając o mądrości filozoficznej opierającej się na zdolności rozumu do badania rzeczywistości, oraz mądrości teologicznej opierającej się na Objawieniu. Podstawą stworzonego przez niego *tomizmu* było odróżnienie filozofii i teologii ze względu na odrębne przedmioty tych nauk.

W teologii scholastycznej wykształcony filozoficznie rozum odgrywa znaczną rolę, lecz mimo pierwszeństwa wiary nie jest ograniczany. Rozum ma za zadanie poszukiwanie sensu, odkrywanie uzasadnienia rozumowego pozwalającego uzyskać choćby częściowe zrozumienie prawd wiary. "Pragnienie prawdy każe zatem rozumowi iść coraz dalej; rozum zdumiewa się wręcz swoją wzrastającą zdolnością pojmowania tego, co odkrywa. (...) Raz jeszcze zostaje tu potwierdzona podstawowa harmonia poznania filozoficznego i poznania wiary: wiara domaga się, aby jej przedmiot został poznany za pomocą rozumu; rozum, osiągając szczyt swoich poszukiwań, uznaje, jak konieczne jest to, co ukazuje mu wiara".

Wskutek aktywnej działalności Magisterium Kościoła w XIX w. na nowo rozwinęły się studia nad myślą św. Tomasza i innych autorów scholastycznych. Dzięki inspiracji papieża Leona XIII oraz dzięki rozwijającym się naukom pomocniczym, poszerzyła się nasza wiedza na temat dorobku myśli średniowiecza. Odnowa myśli filozoficznej o inspiracji chrześcijańskiej objawiła się także pojawieniem licznych dzieł filozoficznych o dużym znaczeniu i trwałej wartości, kontynuujących "wielką tradycję myśli chrześcijańskiej, opartej na jedności wiary i rozumu". Ten renesans myśli Tomaszowej był, według Jana Pawła II, podwaliną pod nauczanie Soboru Watykańskiego II. Jedną z wielu kwestii podjętych przez ten Sobór jest kwestia studiów filozoficznych podejmowanych przez alumnów seminariów duchownych i studentów teologii. Pragnieniem Ojców Soboru było, by każdy ze studiujących uzyskał wiedzę umożliwiającą gruntowne i systematyczne "poznanie człowieka, świata i Boga na podstawie wiecznie wartościowego dziedzictwa filozoficznego, przy uwzględnieniu też wyników badań filozoficznych nowszej doby". Zalecono jednocześnie dogłębne studiowanie myśli św. Tomasza.

Kościół zawsze stawiał św. Tomasza jako wzór teologa i myśliciela. Przytoczyć tu można słowa papieża Pawła VI: "Bez wątpienia Tomasz odznaczał się w najwyższym stopniu odwagą prawdy, wolnością ducha w podejmowaniu nowych problemów oraz intelektualną uczciwością, która nie dopuszcza do zarażenia chrześcijaństwa świecką filozofią, ale też jej z góry

nie odrzuca. Dlatego przeszedł do historii myśli chrześcijańskiej jako pionier wytyczający nową drogę filozofii i kultury powszechnej. Centralnym punktem i niejako samym jądrem rozwiązania problemu nowej konfrontacji między rozumem a wiarą, jakie wskazał, kierując się geniuszem swej proroczej intuicji, było pogodzenie świeckości świata z radykalizmem Ewangelii, dzięki czemu uniknął nienaturalnej skłonności do odrzucenia świata i jego wartości, nie uchybiając przy tym bynajmniej najwyższym i niepodważalnym wymogom porządku nadprzyrodzonego".

Mimo tych pełnych aprobaty słów, Kościół Katolicki nie opowiada się po stronie wybranego kierunku filozoficznego, odrzucając tym samym inne kierunki. W celu swego prawidłowego rozwoju filozofia powinna zachować swoją autonomię. W przeciwnym razie stracimy gwarancję wiarygodności tej nauki. Filozofia kierująca się kategoriami religijnymi, a nie postępująca w świetle rozumu i swoich zasad, staje się całkowicie bezużyteczna. Św. Albert Wielki i św. Tomasz, jako jedni z pierwszych ukazali ten aspekt filozofii. Od późnego średnio-

wiecza obserwujemy jednak przesadny racjonalizm niektórych myślicieli i powstanie filozofii praktycznie oderwanej i całkowicie niezależnej od wiary. Konsekwencją tego rozdziału była przede wszystkim narastająca podejrzliwość wobec samego rozumu. Przyjęto wówczas postawę nieufności, sceptycyzmu i agnostycyzmu. Zaczęto uważać, że niektóre prawdy są niedostępne umysłowi ludzkiemu, albo wręcz, że ich nie ma. Szybko więc myśl tomistyczna zyskała bardzo popularnego konkurenta w postaci systemów opowiadających się po stronie poznania racjonalnego całkowicie oderwanego od wiary. Podobne błędy popełnia współczesna myśl filozoficzna, która bardzo często schodzi z właściwej drogi. "Magisterium nie jest zobowiązane ani

uprawnione do interwencji, które miałyby uzupełniać luki występujące w jakimś niedoskonałym wywodzie filozoficznym. Ma natomiast obowiązek interweniować zdecydowanie i jednoznacznie, gdy dyskusyjne tezy filozoficzne zagrażają właściwemu rozumieniu prawd objawionych oraz gdy szerzy się fałszywe i jednostronne teorie, które rozpowszechniają poważne błędy, naruszając prostotę i czystość wiary Ludu Bożego".

Na tej podstawie, jak stwierdza Jan Paweł II, Magisterium Kościoła uprawnione jest do krytycznej oceny filozofii i poglądów sprzeciwiających się doktrynie chrześcijańskiej. W tym duchu wskazywane są założenia i wnioski filozoficzne niezgodne z prawdą objawioną, a także formułowane wymogi stawiane filozofii z punktu widzenia wiary. Jest to bardzo trudna i odpowiedzialna funkcja Magisterium, zważywszy na wielość różnych szkół myślenia i kierunków, których podstawowe zasady należy dogłębnie i konstruktywnie rozważyć w świetle Słowa Bożego.

W obecnym stuleciu wypowiedzi Magisterium stały się coraz częstsze. Świadczy to głównie o zwiększeniu aktywności intelektualnej chrześcijan, którzy starają się przeciwstawić różnym nurtom myśli nowożytnej, tworząc własne systemy. W sprawach relacji między rozumem i wiarą za wzór postawiono tutaj wypowiedzi Soboru Watykańskiego I. Sobór ten za-

akcentował, "jak bardzo są nierozdzielne, a zarazem niesprowadzalne do siebie nawzajem, naturalne poznanie Boga i Objawienie, rozum i wiara". Na podstawie Objawienia stwierdzono, że "musi być możliwe naturalne poznanie istnienia Boga, źródła i celu wszystkich rzeczy", a jednocześnie potwierdzono odrębność tajemnic wiary od osiągnięć filozofii oraz wyższość transcendentálnych prawd objawionych nad owocami wysiłku intelektualnego.

W XX wieku Magisterium wielokrotnie zabierało głos w sprawie błędnych nauk opartych na niechrześcijańskich przesłankach. Podobnie jak wcześniej, nie odrzucano takiego myślenia, lecz poddawano krytycznej ocenie. Postępowanie takie wynika m.in. z konieczności poznania przyczyn powstawania fałszywych twierdzeń, które często powracają pod inną postacią. Zwłaszcza teraz, w dobie ery informacyjnej, mamy do czynienia z poglądami rozpowszechnionymi tak szeroko, że kształtują one sposób myślenia całej ludzkości. W omawianej encyklice wskazuje się m.in. na postawę głębokiej nieufności wobec rozumu, postulującej, aby refleksja filozoficzna ograniczyła się do interpretowania faktów lub badania określonych dziedzin ludzkiej wiedzy lub jej struktur. Jan Paweł II dostrzega także zagrożenie ze strony powszechnej nieufności wobec twierdzeń o charakterze ogólnym i absolutnym, wynikającej z utraty przekonania o istnieniu prawdy obiektywnej. "Jest oczywiście zrozumiałe, że w świecie podzielonym na wiele specjalistycznych dziedzin trudniejsze staje się dostrzeżenie owego pełnego i ostatecznego sensu życia, którego tradycyjnie poszukiwała filozofia".



Jan Paweł II w Katolickim Centrum Informacji podczas demonstrowania sieci Internetu, 7 października 1995 r.

Tutaj z pomocą rozumowi przychodzi wiara, która "ponagla" go do stawiania sobie wyższych celów i utrzymuje go na drodze do

poznania ostatecznej Prawdy.

Współcześni odkrywają na nowo rolę wiary we współczesnej kulturze, zwłaszcza że filozofia stała się marginesową dziedziną wiedzy. Inne dziedziny działalności ludzkiej, a zwłaszcza te oparte na racjonalizmie, zdobyły w tym czasie coraz większe znaczenie. Jest to, według Papieża, wielkim zagrożeniem dla całej ludzkości. "Człowiek dzisiejszy zdaje się być stale zagrożony przez to, co jest jego własnym wytworem, co jest wynikiem pracy jego rąk, a zarazem - i bardziej jeszcze - pracy jego umysłu, dążeń jego woli. Owoce tej wielorakiej działalności człowieka zbyt rychło i w sposób najczęściej nie przewidywany (...) skierowują się przeciw człowiekowi. Zostają przeciw niemu skierowane lub mogą zostać skierowane przeciwko niemu. (...) Człowiek coraz bardziej bytuje w lęku. Żyje w lęku, że jego wytwory - rzecz jasna nie wszystkie i nie większość, ale niektóre, i to właśnie te, które zawierają w sobie szczególną miarę ludzkiej pomysłowości i przedsiębiorczości - mogą zostać obrócone w sposób radykalny przeciwko człowiekowi". Za jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy Jan Paweł II uznał filozofie, które za jedyny cel swoich poszukiwań uznają nie prawdę, ale "subiektywną pewność lub praktyczną użyteczność". Pogłębia się więc, niestety, proces rozdziału między rozumem i wiarą.

Jednym ze znaków naszych czasów jest tzw. "kryzys sensu", wynikający z postępującego zjawiska fragmentaryzacji wiedzy,

które sprawia, że poszukiwanie sensu staje się bardzo zmusne. "Wycinkowość wiedzy wiąże się z częściową wizją prawdy i prowadzi do fragmentaryzacji sensu, a przez to uniemożliwia współczesnemu człowiekowi osiągnięcie wewnętrznej jedności". Ponadto, ludziom zagubionym w gąszczu informacji i faktów nasuwa się refleksja: czy pytanie o sens ma jeszcze sens - brak odpowiedzi na to ważne pytanie jest równie groźny, jak wielość systemów prześcigających i zarzekających się o posiadaniu rzekomej recepty na życie. Mamy wówczas często do czynienia z pewną formą myślenia wiodącą do coraz szerszego zamykania się w sobie, czyli do zamykania się na jakąkolwiek transcendencję. Wobec tego, filozofia musi stawiać pytania o sens istnienia. Inaczej jest narażona na niebezpieczeństwo instrumentalizacji rozumu i na utratę autentycznego zamiłowania do prawdy.

Jan Paweł II jest zdania, że do współbrzmienia ze Słowem Bożym filozofia musi przede wszystkim "odzyskać wymiar mądrościowy jako poszukiwanie ostatecznego i całościowego sensu życia". Tylko wtedy filozofia stanie się autorytetem krytycznym, będącym inspiratorem i "sumieniem" wszelkich nauk, a zwłaszcza nauk technicznych. Jeśli zaś "środki techniczne nie będą podporządkowane jakiemuś celowi, który wychodzi poza logikę czystego utylitaryzmu, rychło mogą ujawnić swój charakter antyludzki, a nawet przekształcić się w potencjalne narzędzia zniszczenia rodzaju ludzkiego". Równie istotny jest element poszukiwania prawdy w filozofii - jakkolwiek filozofia podważająca możliwość istnienia tego nadsensu jest błędna. Refleksja filozoficzna winna wykazywać, że człowiek jest zdolny dojść do poznania prawdy, że jest zdolny tę prawdę wyrazić i przekazać innym w sposób uniwersalny, a także bez utraty jej transcendencji. Inna refleksja, niż ta, nie jest w stanie pomóc w poznawaniu Słowa Bożego. "Potrzebna jest filozofia o zasięgu prawdziwie metafizycznym, to znaczy umiejąca wyjść poza dane doświadczenia, aby w swoim poszukiwaniu prawdy odkryć coś absolutnego, ostatecznego, fundamentalnego". Wymagane jest to w szczególności w celu poznania dobra moralnego, a w rezultacie - samego Boga. "Refleksja filozoficzna, która wykluczałaby wszelkie otwarcie na metafizykę, byłaby zupełnie nieprzydatna do pełnienia funkcji pośredniczącej w rozumieniu Objawienia". Metafizyka odgrywa więc szczególnie ważną rolę w teologii. Bez niej teologia nie jest w stanie wyjść poza samą analizę, a prawdy wynikłe z takich refleksji teologicznych nie oddawałyby pełni wartości prawdy objawionej.

W omawianej Encyklice postawione zostały trzy podstawowe warunki, jakie musi spełnić filozofia współpracująca z teologią w dziedzinie poznawania i dalszego przekazywania Depozytu Wiary. Są to: mądrościowy charakter filozofii, niestanne poszukiwanie prawdy jako cel nadrzędny oraz, wynikający z dwóch poprzednich, postulat metafizyczności refleksji - otwarcie na rzeczywistość nadprzyrodzoną. "Wymogi stawiane filozofii przez słowo Boże - pisze Jan Paweł II - mogą się wydawać trudne dla wielu osób, które bezpośrednio zaangażowane są w prace badawcze w dziedzinie filozofii współczesnej. Właśnie dlatego pragnę wyrazić tutaj głębokie przekonanie (...) że człowiek jest w stanie wypracować sobie jednolitą i organiczną koncepcję poznania". Konieczność wypracowania takiej filozofii, która zachowywałaby ciągłość myśli starożytnych i filozofii chrześcijańskiej, jest szczególnie akcentowana przez Papieża, zwłaszcza w obliczu zagrożeń niesionych przez myśli obce chrześcijaństwu. Należą do nich nurty eklektyzmu, historyzmu, scjentyzmu, pragmatyzmu, nihilizmu i wiele innych, których dogłębna analiza nie jest przedmiotem Encykliki.

Eklektyzm jest postawą bezkrytycznego posługiwania się ideami zaczerpniętymi z różnych filozofii, bez zwrócenia uwagi

na ich spójność, powiązanie, ani na kontekst historyczny. Błąd ten w oczywisty sposób dyskwalifikuje myślenie eklektyczne, głównie z powodu niemożności skonstruowania poważnego systemu filozoficznego opartego na dowolnej mieszance nie powiązanych, nawet sprzecznych ze sobą systemów.

Historyzm uznaje wybraną filozofię, jeśli odpowiada ona wymogom danej epoki i spełnia wyznaczone jej zadanie historyczne. Innymi słowy, to co jest prawdziwe w jednej epoce, może nie być prawdziwe w innej. Jest to więc "relatywizm, według którego prawda zmienia się w toku dziejów i nie ma wartości absolutnej w żadnym ich momencie".

Scjentyzm jest koncepcją filozoficzną uznającą tylko i wyłącznie poznanie właściwe dla nauk ścisłych. Nurt ten zakłada, że poznanie takie ma "zastosowanie uniwersalne, a w szczególności w filozofii, naukach społecznych i humanistyce". Wszelkie inne formy poznania sprowadzane są tu do roli przesądów. Znika w nim pojęcie bytu, liczą się tylko fakty. Scjentyści twierdzą, że to, co technicznie wykonalne, jest moralnie dopuszczalne.

Pragmatyzm oznacza postawę nieodwoływania się do refleksji ani do oceny etycznej. Towarzyszy mu "przekonanie o decydującej roli praktyki w weryfikacji sądów i teorii naukowych oraz uzasadnianiu światopoglądów (...), przyjmowanie kryterium użyteczności dla życia przy ocenianiu wartości twierdzeń i poglądów". Postawa taka występuje często w demokracji, "w której nie ma miejsca na jakiegokolwiek odniesienie do zasad o charakterze aksjologicznym, a więc niezmiennych: o dopuszczalności lub niedopuszczalności określonego postępowania decyduje tu głosowanie większości parlamentarnej".

Nihilizm odrzuca wszelkie fundamenty i neguje prawdę obiektywną. Pojęcie to, wprowadzone przez I.S. Turgieniewa w odniesieniu do anarchistów rosyjskich, oznacza "przekonanie o iluzoryczności, nierealności lub nieadekwatności - wobec możliwości człowieka - uznanych wartości i ideałów moralnych". Nihilistyczne nurty myślowe odwołujące się do postmodernizmu głoszą, "że epoka pewników minęła bezpowrotnie, a człowiek powinien teraz nauczyć się żyć w sytuacji całkowitego braku sensu, pod znakiem tymczasowości i przemijalności". Źródło takiego postrzegania świata Jan Paweł II widzi w wielkim doświadczeniu zła, jakiego zaznaje ludzkość od początku XX wieku.

Ważnym elementem omawianej Encykliki jest podkreślana wielokrotnie potrzeba usensownienia rzeczywistości - nawet tej codziennej - w trosce o przyszłe pokolenia. "Filozofia sensu, to przede wszystkim odłożenie miecza! Dalej, to zwrócenie się ku źródłom prawdziwej duchowości. (...) Encyklika pobudza do budowania krajobrazu pełnego nadziei, w którym nie ma miejsca na katastrofizm krzyczący, że to koniec, że wszyscy spłoną w ogniu piekielnym. Na horyzoncie trzeba natomiast dostrzec te wartości ludzkiego umysłu, które zostały tam niejako posiane przez Bożego Ducha i czekają, aż zaczniemy je podlewać i pielęgnować, aby zrodziły zdrowe owoce wiary!".

Jan Paweł II wzywa do refleksji nad prawdami wiary. Wzywa do niej w celu ratowania ludzkości przed globalną katastrofą - dla dobra ludzkości i cywilizacji. Proponuje otwarcie się na prawdę objawioną, pragnie zainspirować prace nad nową filozofią - na tych dwóch skrzydłach chce przenieść zagrożoną ludzkość ponad grożącą jej przepaścią.

Grzegorz Dąbrowski

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki
PS. Tytuł oryginalny powyższego artykułu: "Koncepcja współczesnej filozofii chrześcijańskiej w świetle encykliki papieża Jana Pawła II *Fides Et Ratio*"

Miejsce i rola człowieka w przyrodzie



Papież w Tatrach

Punktem wyjścia dla nauczania Jana Pawła II jest zawsze Pismo Święte. Rozważania na temat przyrody papież rozpoczyna od głębokiej analizy Księgi Rodzaju, a w szczególności od fragmentu przedstawiającego opis stworzenia świata (Rdz 1.2).

Myśl Boga dotycząca związku człowieka z ziemią wyrażona jest słowami: "Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał" (Rdz 2, 15). Do pierwszych ludzi Bóg powiedział: "Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną, abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi" (Rdz 1, 28b).

Przytoczone wyżej słowa opisują miejsce, jakie człowiek ma zajmować na Ziemi wśród innych stworzeń. Sens tych słów powinien, według Jana Pawła II, motywować każdego człowieka do postawy ekologicznej, co postaram się przedstawić szerzej w dalszej części pracy. Paradoksalnie, te same słowa były wielokrotnie przytaczane dla usprawiedliwienia bezwzględnej eksploatacji naszej planety. Kontrowersje budzi bowiem słowo "panowanie" użyte do opisu relacji człowiek - przyroda. Rozumiano bowiem, że człowiek stoi całkowicie ponad przyrodą i jest całkowicie wolny od obowiązków. Może on także, jako pan przyrody, wykorzystywać dobra natury w sposób dowolny dla zaspokojenia swoich potrzeb. Dlaczego zatem nie miałyby eksploatować dóbr natury bez zastanawiania się nad konsekwencjami?

Jan Paweł II w swojej nauce prostuje znaczenie słowa "panowanie". "Człowiek zdaje się często nie dostrzegać innych znaczeń swego naturalnego środowiska, jak tylko te, które służą celom doraźnego użycia i zużycia. Tymczasem Stwórca chciał, aby człowiek obcował z przyrodą jako jej **rozumny i szlachetny pan i stróż**, a nie jako bezwzględny eksploatator." A zatem, człowiek nie może samowolnie rozporządzać ziemią i podporządkowywać jej bezwzględnie własnej woli. O człowieku bezmyślnie eksploatującym przyrodę Jan Paweł II dobitnie wypowiedział się w encyklice *Centesimus Annus*: "Zamiast

pełnić funkcję współpracownika Boga w dziele stworzenia, człowiek zajmuje Jego miejsce, w końcu prowokując bunt natury, raczej przez niego tyranizowanej niż rządzonej".

Skąd takie różnice w interpretacji tego samego fragmentu Biblii? Myślę, że wszyscy, którzy zarzucali w przeszłości chrześcijaństwu moralne poparcie dla bezwzględnego eksploataowania naszej planety, wpadli w pułapkę, jaką jest tłumaczenie słów w oderwaniu od kontekstu. Kontrowersyjne zdanie jest przecież tylko fragmentem większej całości. Interpretacja Jana Pawła II oparta jest na analizie całego opisu stworzenia.

Przyczyny ograniczenia swobody człowieka

Symboliczny obraz ograniczeń nałożonych na człowieka przez Stwórcę odnajdujemy w Księdze Rodzaju w zakazie spożywania owocu drzewa poznania dobra i zła. Czytamy bowiem: "Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania, ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz" (Rdz 2, 16b-17). Ten symboliczny zakaz oznacza, że nie wszystko wolno człowiekowi.

Przyczyn ograniczenia poczynań człowieka jest kilka. Świat stworzony nadal należy do Boga. Człowiek jest tylko zarządcą świata, a nie jego panem. Cała przyroda jest w dalszym ciągu zależna od Boga, a nie od człowieka, choć człowiek czasami może ulec złudzeniu, że samodzielnie rządzi światem. Przykładem zależności świata od Boga jest rolnictwo. Rolnik może przygotować glebę, zasiać i pielęgnować plony, ale ostateczny sukces nie zależy tylko od jego pracy, mimo dołożenia wszelkich starań. Człowiek nie ma przecież kontroli nad słońcem, deszczem czy wiatrem. W ostateczności zatem, wszystko, co ma związek z przyrodą, jest zależne od Boga, który jest panem świata.

Po drugie, ziemia nie służy jedynie człowiekowi, ale jest domem wszystkich stworzeń, o których człowiek nie może zapominać. Jan Paweł II apeluje więc: "W kontakcie z przyrodą współpracujecie bezpośrednio z Bogiem, Stwórcą i Ojcem, po to, aby nasza planeta Ziemia (...) była upragnionym środowiskiem **dla wszystkich form życia: życia roślin, życia zwierząt i życia człowieka.**"

Kolejnym powodem ograniczenia swobody człowieka jest zapewnienie poszanowania dla wszelkich innych bytów oraz zapewnienie równowagi w przyrodzie. Każdy element przyrody zasługuje na poszanowanie, gdyż jest dziełem Boga i jest dobrem. Czytamy wszakże: "A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre" (Rdz 1, 31).

Stworzenie świata następowało etapami, a każde nowe stworzenie, każdy nowy element układanki świata otrzymywał dla siebie właściwe mu miejsce. Współistnienie wszystkich elementów przyrody gwarantuje równowagę. Każdy element przyrody ma swoje miejsce we wszechświecie i - co więcej, jest w tym miejscu niezbędny. Inaczej przecież nie zostałby stworzony.

Na temat poszanowania wszelkich bytów i zapewnienia równowagi w przyrodzie Jan Paweł II wypowiedział się w encyklice *Sollicitudo Rei Socialis*: "Nie można bezkarnie używać różnego

rodzaju bytów, żyjących czy nieożywionych składników naturalnych, roślin, zwierząt (...). Przeciwnie, należy brać pod uwagę naturę każdego bytu oraz ich wzajemne powiązanie w uporządkowanym systemie, którym właśnie jest kosmos."

Obowiązki człowieka względem przyrody

Pozycja zarządzającego przyrodą, czy też stróża przyrody, nakłada na człowieka pewne obowiązki i zadania.

Pierwszym obowiązkiem człowieka jest ochrona przyrody, która wynika nie tylko z szacunku dla wszystkiego, co zostało stworzone przez Boga, ale także z obowiązku przekazania świata w ręce przyszłych pokoleń. Temat ten Jan Paweł II poruszał wielokrotnie, w tym również w trakcie spotkania z rolnikami w Stanach Zjednoczonych: "Jesteście rządcami jednych z najcenniejszych zasobów, jakie Bóg dał światu. Dlatego dobrze opiekujcie się tą ziemią, aby dzieci waszych dzieci i następcy po nich pokolenia odziedziczyły ziemię bogatszą nawet od tej, która została wam powierzona."

Ochrona przyrody dla przyszłych pokoleń oznacza między innymi konieczność podejmowania działań na rzecz ochrony zagrożonych gatunków, konieczność podejmowania prób rozwiązania problemu ograniczenia zasobów naturalnych oraz przeciwdziałania zanieczyszczeniu środowiska, będącego skutkiem uprzemysłowienia. W homilii wygłoszonej w Białymstoku 5 czerwca 1991 roku Jan Paweł II, nawołując do ochrony ginącej przyrody, użył słów siódmego przykazania: *Nie kradnij!* Nie wolno nam, obecnie żyjącym, zagrabić, zużyć tego wszystkiego, co należy się także przyszłym pokoleniom.

Człowiek, jako zarządca przyrody, nie powinien poprzestać na utrzymywaniu stanu obecnego przyrody, ale - co Jan Paweł II wyraził jasno w cytowanym wyżej fragmencie - ma starać się rozwijać powierzone mu w opiekę dobra. Pogląd o konieczności pomnażania dóbr wyrasta z ewangelicznej przypowieści o słudze, który został potępiony, gdyż nie pomnażał powierzonych mu sum. Kontynuując myśl, nie wystarczy przekazanie potomnym świata w stanie nie pogorszonego. Powinniśmy dokładać wszelkich starań, by usunąć zniszczenia, jakich dokonali nasi poprzednicy.

"Ekologia ludzka"

Jan Paweł II w encyklice *Gentessimus Annus* wyraża opinię, że nie poświęca się dostatecznej uwagi problemowi niszczenia środowiska ludzkiego. "Nie tylko ziemia została dana człowiekowi przez Boga, aby używał jej z poszanowaniem pierwotnie zamierzonego dobra, dla którego została mu ona dana, ale również człowiek jest dla siebie samego darem otrzymanym od Boga i dlatego musi respektować naturalną i moralną strukturę, w jaką został wyposażony".

Ekologia ludzka, o jakiej mówi Jan Paweł II, oznacza konieczność prowadzenia urbanistyki troszczącej się o życie człowieka i obo-



wiązek tworzenia ekologicznych, zdrowych warunków pracy.

Ekologia ludzka, w rozumieniu Jana Pawła II, to troska o każdego człowieka. Skoro bowiem mamy chronić naszą planetę i wszystkie jej bogactwa dla przyszłych pokoleń, to należy także zadbać o to, aby z tych dóbr mogli korzystać wszyscy współcześnie żyjący ludzie. Dobra stworzone powinny przecież należeć w równej mierze do każdego człowieka. Jan Paweł II mówi zatem o obowiązku hojności wobec tych, którzy z różnych względów nie korzystają z dóbr stworzonych przez Boga dla wszystkich.

Zamiast zakończenia

W nauczaniu Jana Pawła II, pomimo silnego akcentowania obowiązków i zadań, jakie powinien podejmować człowiek, brak jest smutnej czy nawet żalostnej nuty narzekania na ciężki i trudny los ludzkości. Wręcz przeciwnie, rozważania Papieża o przyrodzie są zawsze radosne. Wynika to z pojmowania przyrody, jako daru.

"Ziemia jest darem powierzonym ludziom przez Boga od samego początku. Jest to dar Boży udzielony przez kochającego Stwórcę jako środek podtrzymywania życia (...)."

A zatem, dzięki stworzonej przyrodzie możliwe jest istnienie człowieka. Postawa wdzięczności, radości i zachwytu nad pięknem świata jest najwłaściwszą postawą człowieka, dostrzegającego wokół siebie przyrodę. Myślę, że odczuwanie przyrody przez Jana Pawła II bliskie jest temu, jakie charakteryzowało Mikołaja z Narbonne, jednego z pierwszych generałów Zakonu Karmelitańskiego:

"W samotności cała stworzona natura przyczynia się do naszego dobra. Rozświetlone gwiazdami niebo i zdumiewające w swym porządku planety przypominają nam o istnieniu wspanialszych cudów (...). Wszystkie stworzenia obdarowują nas swoim pocieszeniem. A chociaż nie mogą mówić, opowiadają o licznych cudach i sprawiają, że dusza wyrwa się z ciała, wielbiąc Stworzyciela".

Nauka Jana Pawła II, to nauka szacunku dla świata. Opiera się na Piśmie Świętym i stanowi kontynuację myśli Ojców Kościoła, którzy głosili konieczność troski o przyrodę, zanim ktokolwiek na naszej planecie usłyszał termin "filozofia ekologiczna".

Szkoda zatem, że papieskie encykliki są czytane i rozważane przez tak niewielką liczbę osób - również tych zdeklarowanych katolików. Szkoda, że nauki głoszone podczas licznych pielgrzymek, choć wzruszają słuchających, nie są wcielane w życie. Szkoda, bo gdyby było inaczej, być może świat nie potrzebowałby w ogóle żadnych organizacji, ruchów czy grup ekologicznych.

Monika Skibska
Studentka Wydziału Zarządzania
i Ekonomii

(Ilustracje do powyższego i poprzedniego tekstu wybrał z Internetu Stefan Zabieglik)

Międzynarodowe sympozjum z hydroakustyki



W dniach od 24 do 27 maja 1997 odbyło się pod auspicjami European Acoustics Association 2nd EAA International Symposium on Hydroacoustics, które zorganizowały Katedra Akustyki Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki i Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni. Komitet Honorowy Sympozjum zaszczylił swoim udziałem: prof. Aleksander Kołodziejczyk - rektor Politechniki Gdańskiej, kontradmirał prof. Antoni Komorowski - rektor Akademii Marynarki Wojennej, dr Jan Frąckowiak - sekretarz stanu w Komitecie Badań Naukowych, kontradmirał Zbigniew Popek - szef Sztabu Marynarki Wojennej oraz prof. Ignacy Malecki - honorowy przewodniczący Komitetu Akustyki Polskiej Akademii Nauk. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był prof. Andrzej Stepnowski z Katedry Akustyki, a przewodniczącym Komitetu Naukowego - prof. Eugeniusz Kozaczka z Akademii Marynarki Wojennej.

Uroczystość otwarcia Sympozjum odbyła się w Auditorium Novum z udziałem licznych gości i uczestników, których powitał prof. Aleksander Kołodziejczyk, rektor Politechniki Gdańskiej. W swoim wystąpieniu rektor przedstawił krótko historię Politechniki Gdańskiej, jej obecny stan i perspektywy rozwoju. Goście i uczestnicy Sympozjum z dużym uznaniem wyrażali się o uroku zabytkowej części naszej Uczelni, a także o architekturze i standardzie Auditorium Novum. W przerwie obrad rektor podjął Komitet Naukowy lampką wina w Sali Senatu. Po zakończeniu obrad uczestnicy Sympozjum odbyli przechadzkę po Starym Mieście, wysłuchali koncertu muzyki kameralnej i utworów Chopina w Dworze Artusa oraz wzięli udział w bankiecie w podziemiach tego zabytkowego budynku.

Robocza część Sympozjum rozpoczęła się następnego dnia w Wojskowym Domu Wypoczynkowym w Juracie. Uczestniczyło w niej 60 osób, w tym 25 naukowców zagranicznych z 15 krajów europejskich, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Izraela. Obrady odbywały się w języku angielskim. Wygłoszono przeszło 50 referatów, w tym 6 referatów zaproszonych, prezentowanych przez czołowych hydroakustyków europejskich i amerykańskich. Tematyka referatów obejmowała prawie wszystkie dziedziny hydroakustyki, a więc hydroakustykę rybacką, akustykę morza, systemy hydroakustyczne i przetwarzanie sygnałów, przetworniki ultradźwiękowe, szumy hydroakustyczne, akustyką nieliniową, propagację i modelowanie oraz technikę ultradźwiękową. Teksty wszystkich referatów zamieszczono w *Proceedings of the 2nd EAA International Symposium on Hydroacoustics* wydanych przez Politechnikę Gdańską, pod redakcją A. Stepnowskiego, R. Salamona i E. Kozaczki. W zgodnej opinii uczestników, wyrażanej między innymi w licznych pismach nadesłanych do Komitetu Organizacyjnego po zakończeniu Sympozjum, jego poziom naukowy i organizacyjny w niczym nie ustępował specjalistycznym konferencjom światowym. Z uznaniem podkreślano

między innymi wręczenie materiałów konferencyjnych przed rozpoczęciem obrad, co nie jest zawsze praktykowane, a znacznie ułatwia wymianę informacji i poglądów w czasie trwania sympozjów. Licznymi komplementami obdarzono same materiały konferencyjne, zwłaszcza za ich wysoki poziom edytorski, a szczególnie walory estetyczne.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że sympozja z hydroakustyki mają już szesnastoletnią historię i ugruntowaną pozycję w środowisku polskich i zagranicznych hydroakustyków. Pierwsze sympozjum z hydroakustyki zorganizowano w 1984 roku z inicjatywy śp. prof. Zenona Jagodzińskiego, twórcy polskiej szkoły hydroakustyki, wieloletniego kierownika Katedry Radionawigacji i Zakładu Hydroakustyki Politechniki Gdańskiej. Sympozja te organizowano corocznie aż do roku 1996, z licznym udziałem polskich hydroakustyków z uczelni, instytutów naukowych, przemysłu, jak również oficerów Marynarki Wojennej. Uczestniczyły w nich także zawsze liczna grupa naukowców zagranicznych. Ta wieloletnia tradycja i zauważany przez uczestników zagranicznych ugruntowany, wysoki poziom merytoryczny, przyczyniły się do rozszerzenia formuły na sympozjum międzynarodowe. Pierwsze takie sympozjum odbyło się w 1997 roku pod auspicjami European Acoustics Association, które to stowarzyszenie skupia znaczną większość krajowych towarzystw akustycznych, w tym także Polskie Towarzystwo Akustyczne. Włączenie polskiego sympozjum hydroakustycznego do elitarnego grona europejskich konferencji akustycznych dokonało się dzięki wsparciu prof. L. Bjorno z Uniwersytetu Technicznego w Kopenhadze i prof. R. Chiversa z Uniwersytetu w Guilford, uczestników wcześniejszych sympozjów z hydroakustyki, a zarazem wybitnych działaczy europejskich stowarzyszeń akustycznych. Pierwsze międzynarodowe sympozjum z hydroakustyki odbyło się w roku Millenium Gdańska i zostało włączone od programu jego obchodów.

Po sukcesie pierwszego sympozjum międzynarodowego postanowiono, aby przemiennie, co dwa lata organizować sympozja międzynarodowe i krajowe, kontynuując tym samym tradycję corocznych spotkań naukowych hydroakustyków na Wybrzeżu Gdańskim. Zgodnie z tą zasadą w ubiegłym roku odbyło się sympozjum krajowe, w tym roku międzynarodowe, a w przyszłym roku odbędzie się kolejne XVII Sympozjum z Hydroakustyki, na które zaprasza już dziś powołany niedawno jego Komitet Organizacyjny.

Roman Salamon

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki



Fot. T. Chmielowiec

Od lewej: prof. Andrzej Stepnowski - przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, prof. Aleksander Kołodziejczyk - rektor PG, prof. Józef Woźniak - dziekan Wydziału ETI

Seminarium na Wydziale Inżynierii Środowiska

W dniu 14.05.1999 r. odbyło się uroczyste seminarium naukowe Katedry Budownictwa Wodnego i Gospodarki Wodnej na Wydziale Inżynierii Środowiska, poświęcone pamięci Prof. dr. hab. inż. Tomasza Biernackiego w 10. rocznicę Jego śmierci.

W seminarium wzięli udział liczni pracownicy Wydziału, Pani dr Elżbieta Biernacka wraz z rodziną oraz dyrektorzy i przedstawiciele elektrowni szczytowo-pompowych, a także byli współpracownicy i przyjaciele Profesora.

Referaty biograficzne wygłosili prof. Stefan Bednarczyk i doc. Stanisław Mackiewicz, referaty naukowe - dr inż. Teresa Jarzębińska i dr inż. Jan Wróblewski.

O współpracy ze zmarłym Profesorem opowiedzieli: prof. Andrzej Sawicki - b. dyrektor IBW PAN, doc. Wiesław Welnicki - prorektor ds. kształcenia w latach 1972-1978, inż. Stanisław Cicholski - dyrektor EW Żarnowiec, mgr inż. Wiesław Biliński - dyrektor Zespołu EW Porąbka-Żar oraz mgr inż. Marek Biedrzycki. Przedstawiciele Towarzystwa Elektrowni Wodnych poinformowali, że w Elektrowni Czchów zostanie



Prof. Tomasz Biernacki

wmurowana tablica pamiątkowa poświęcona pamięci Profesora Tomasza Biernackiego.

Informacja biograficzna o profesorze Tomaszu Biernackim

Profesor dr hab. inż. Tomasz Biernacki pracował w Politechnice Gdańskiej od 1.05.1953 r. Piastował wiele funkcji, w tym: kierownika Katedry Budownictwa Wodnego (1972-1975 i 1983-1989), prodziekana Wydziału Budownictwa Wodnego (1967-1969), prorektora (1969-1975) i rektora (1975-1978) Politechniki Gdańskiej oraz I zastępcy Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki (1978-1981).

Był wybitnym specjalistą w dziedzinie hydroenergetyki i gospodarki wodnej. Do najważniejszych Jego osiągnięć należy zaliczyć wprowadzenie nowoczesnych rozwiązań elektrowni szczytowo-pompowych, zastosowanie rachunku operacyjnego do sterowania pracą elektrowni wodnych oraz wprowadzenie programowania liniowego i dynamicznego do sterowania zbiornikami retencyjnymi.

Stefan Bednarczyk
Wydział Inżynierii Środowiska

30 lat minęło ... czyli kuracja odmładzająca

29 maja 1999 roku na Wydziale Chemicznym Politechniki Gdańskiej odbył się "Zjazd z okazji 30-lecia ukończenia studiów chemicznych na Politechnice Gdańskiej". Tak brzmiał tytuł miłego zaproszenia na spotkanie absolwentów roczników 1963-69 i 1964-69.

A oto, jak wyglądał program spotkania.

Godz. 10.00, Auditorium Chemii

- Przywitanie uczestników
- Wystąpienie rektora Politechniki Gdańskiej, prof. Aleksandra Kołodziejczyka
- Wystąpienie dziekana Wydziału Chemicznego PG, prof. Jacka Namieśnika
- Wykład prof. Romualda Juchniewicza pt. "Zabezpieczenia przeciwkorozyjne XXI wieku"

Godz. 11.00. Wspólne zdjęcie przed Gmachem Głównym Politechniki.

Godz. 12.00. Spotkania w katedrach Wydziału Chemicznego.

Duże Auditorium Chemii wypełnione było po brzegi. Pierwsze dwa rzędy przeznaczono dla "kadry" nauczającej. Jakże miło było spotkać nie widzianych od lat wspaniałych nauczycieli akademickich oraz dawnych kolegów, z których wielu jeszcze dziś pracuje na Uczelni, i tych, którzy powoli odchodzą na emeryturę lub już na niej przebywają. Wśród profesorów widzimy nestora Wydziału Chemicznego 90-letniego Pana Profesora Aleksiego Potockiego oraz Seniorkę Panią Profesor Wandę Szczepułową, wielce zasłużoną dla Wydziału, byłego jego dziekana i naukowca. Panu Profesorowi Potockiemu organizatorzy wręczyli piękny list gratulacyjny z okazji 90. urodzin, oraz ogromny bukiet czerwonych róż, zaś Panią Profesor Szczepułową obdarowano prześliczną wiązanką róż w kolorze białoróżowym. Obydwoje Państwa Profesorów powitano na stojąco burzą oklasków, życząc Im zdrowia i 100 lat.



Organizatorzy Zjazdu obdarowali także pięknymi różami wszystkich przybyłych na spotkanie, zarówno byłych, jak i aktualnych pracowników naukowo-dydaktycznych Wydziału. Wśród zaproszonych gości specjalnie miło było spotkać wieloletnią pracowniczkę dziekanatu - panią Danusję Kosmuską, którą brać studencka darzyła zawsze wielką sympatią i zaufaniem.

Przewodniczący spotkaniu prof. Marek Biziuk zaintonował spontanicznie XVIII-wieczną pieśń studencką "Gaudeamus", którą z wielkim entuzjazmem i wzruszeniem podchwycili gromko wszyscy tak licznie zgromadzeni goście. Pieśń brzmiała imponująco.



Niech mi będzie wolno w tym miejscu wymienić nazwiska godnych najwyższego uznania i podziwu, zapracowanych wielce i pełnych młodzieżowego zapału organizatorów tej miłej imprezy 30-lecia. Są to państwo: (pominę tytuły) Marek Biziuk, Krysia Gajewska, Ryszard Stefanowicz, Halina Szela, Jan Szukalski i Ewa Wojciechowska.

W dalszej części spotkania krótkie, ale bardzo serdeczne, przemówienie wygłosił JM Rektor (podwójny - bo aktualny i Rektor-Elekt) prof. Aleksander Kołodziejczyk, które to zgromadzeni przyjęli burzliwymi oklaskami - wszak Pan Rektor to także chemik, profesor na Wydziale Chemicznym PG. Jedyne wszyscy żalowali ogromnie, że obowiązki służbowe Rektora nie pozwoliły Mu na dłuższe pozostanie wśród nas. Równie miłe i serdeczne, a przy tym koleżeńskie, było przemówienie Pana Dziekana Wydziału, prof. Jacka Namieśnika - tak niedawno by się zdawało - studenta. Pan Dziekan sam wspomniał żartobliwie, że jeden z organizatorów tego Zjazdu - p. prof. Marek Biziuk - zaliczał mu swego czasu ćwiczenia chemiczne. Pan Dziekan wykorzystał także okazję przybycia na Zjazd wielu dawnych studentów, a dziś niewątpliwie ważnych osobistości, piastujących odpowiedzialne stanowiska w gospodarce krajowej, lub być może prowadzących swoje własne przedsiębiorstwa - i zaapelował o pewnego rodzaju sponsoring, chociażby tylko na przeprowadzenie remontu Audytorium Chemii, wpisane go właśnie do katalogu zabytków.

W tym miejscu pozwolę sobie przypomnieć, że przed 5 laty poruszyłam ten temat w PIŚMIE PG nr 2 z września 1993 r., w artykule pt. "Co pozostało po dawnym wyposażeniu laboratoriów chemicznych w Politechnice Gdańskiej".

Po wygłoszeniu wykładu na temat korozji, prof. Romuald Juchniewicz zaproszony został przez organizatorów Zjazdu, a szczególnie przez jednego z nich - Jana Szukalskiego, który był przed laty dyplomantem, a potem doktorantem pana profesora. Warto jeszcze dodać, że prof. Juchniewicz od wielu lat pracuje w Katedrze Technologii Zabezpieczeń Przeciwkorozyjnych i bez przerwy zajmuje się tymi problemami. Wykład profesora był niezmiernie ciekawy i prowadzony w sposób przystępny, lekki i bardzo błyskotliwy, więc nic dziwnego, że zainteresował wielce wszystkich słuchaczy. Ciekawe przezroczą wzbogaciły go i urozmaiciły znakomicie. Dowiedzieliśmy się dużo o aktualnie prowadzonych badaniach na naszym Wydziale właśnie w Katedrze Technologii Zabezpieczeń Przeciwkorozyjnych, o ogromnych stratach, jakie ponosi gospodarka krajowa z powodu wszechobecnej korozji, oraz o tym, jak inne kraje, a zwłaszcza kraje Unii Europejskiej, pracują nad tym problemem, i jakie prowadzą prace na ten temat w swoich instytutach naukowych, stosując ostatnio nawet badania akustyczne oraz wprowadzając do ochrony przed korozją pewne ba-

terie, którym zmienia się kod genetyczny. Po wysłuchaniu tego nad wyraz interesującego wykładu, w nastroju wielce radosnym, udali się wszyscy gromadnie przed Gmach Główny, aby zrobić sobie wspólne, koleżeńskie zdjęcie "na wieczną pamiątkę", które wykonał w wielu ujęciach (jako że były dwa roczniki studentów) - niezastąpiony i niezawodny naczelnny fotograf PG - pan Tadeusz Chmielowiec. Bezpośrednio po tej ceremonii poszczególne grupy specjalistyczne byłych studentów wraz ze swoimi nauczycielami-opiekunami udały się do swoich katedr, aby spotkać się tam ze sobą już mniej oficjalnie, na wspólnych wspominkach, rodzinnych opowieściach i życiowych ploteczkach. A było o czym porozmawiać i pogwarzyć. Nie wiem, jak to się działo w innych katedrach, ale nasze spotkanie z moimi dawnymi studentami, których zebrało się dzisiaj tylko, a może aż, dziesięcioro, przerodziło się w prawdziwe, spontaniczne, radosne i sentymentalne wspominki i opowieści o czasach studenckiej młodości. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, aby jak najwięcej zdążyć sobie opowiedzieć o tych minionych trzydziestu latach. Wielu z naszych dawnych studentów rozproszyło się po szerokim świecie, powyjeżdżało za granicę lub osiadło w głębi Polski. Żałowałam prywatnie, że brakło na tym spotkaniu moich dwu dyplomantów. Jeden z nich podobno już nie żyje, drugi zaś nie mógł przybyć z przyczyn od siebie niezależnych - jak to się zwykle określa. Nasze zegary nieoczekiwanie poczęły pędzić z szaloną szybkością do tyłu, cofając swoje wskazówki do tych beztrioskich lat, które wspomina się najchętniej i z łezką w oku, kiedy to świat cały stał otworem.

Niestety, nie był to jednak czas najlepszy dla naszego kraju, i właśnie tego pokolenia, na pewno też nie był to czas tak całkowicie beztrioski. A mimo to, wszyscy poczuliśmy się naprawdę jakby młodszy, nie było między nami żadnego dystansu nauczyciel-student, a już z pewnością zatarł się jakoś w sposób czarodziejski - dystans wiekowy.

Mówiliśmy sobie po imieniu i byliśmy naprawdę bardzo sobie bliscy. Po pierwszych porywczych wykrzykiwaniach udało się w końcu wprowadzić nieco porządku do panującego gwaru i hałasu w tak wspaniale rozpoczynającej się właśnie kuracji odmładzającej. Wprowadziliśmy jednomyślnie system tzw. "spowiedzi trzydziestolecia". Panie nasze w tym czasie zmieniły się minimalnie, choć oczywiście zmieniły im się - prawie wszystkim - nazwiska. Pozostał natomiast im ten sam młodzieńczy błysk w oku, entuzjazm i wesołość, mimo że dawał się też zauważyć czasami jakby odcień smutku i refleksji nad tym, co minęło. Byłam tu dzisiaj jedyną przedstawicielką tzw. kadry nauczającej, i nie sposób było nie wspomnieć wśród naszych rozmów o innych jeszcze nauczycielach naszej specjalności - Technologii Mineralnych Materiałów Budowlanych. Z prawdziwym smutkiem wspominaliśmy naszych niezapomnianych docentów - Józefa Domańskiego i Władysława Piotrowicza, uwielbianych szczerze przez wszystkich studentów za ich przyjacielski stosunek do nich, fachowość i życzliwość wręcz ojcowską. Takich ludzi łatwo się nie zapomina. Odeszli oni od nas już na zawsze.

Po otrząśnięciu się z tych smutnych myśli i wspomnień, kontynuowaliśmy barwne opowieści o tym, jak to komu ułożyło się życie w ogóle, a życie rodzinne w szczególności, o tym gdzie kto pracuje, w jakim zakładzie pracy i czy w swojej specjalności, jakie osiągnął sukcesy itd., itd. W każdej prawie z tych opowieści przebijała duma, satysfakcja i radość nie tylko z własnych sukcesów, ale głównie z sukcesów i osiągnięć swej progenitury. Tak, tak, to dzieci zdominowały wkrótce całkowicie wszystkie rodzinne opowieści. Okazało się, że niektóre z nich pokończyły już studia i stanęły na własnych nogach,



zarabiając niejednokrotnie więcej od swoich uroczych mam. Majka, która jest pracownikiem naszej uczelni, jest bardzo dumna ze swojego syna, który ukończył studia i pracuje obecnie także w wyższej uczelni, ale ten akurat nie przewyższa mamy swoimi zarobkami. Inaczej jest z córką Jadzi, która po ukończeniu studiów ekonomicznych zarabia trzykrotnie więcej niż jej mama, pracująca w pewnej reklamowej spółce, zaś syn jest studentem historii rokującym wielkie nadzieje. Zosia, znana działaczka NOT-u, oraz Władzia, zwana Dziunią, przeistoczyły się w prawdziwe "bizneswomenki" i prowadzą własne przedsiębiorstwa, przy czym Władzia ma dodatkowo aż trójkę dzieci, z których jedna córka studiuje w Wyższej Szkole Rolniczej, a druga jest studentką Wyższej Szkoły Morskiej, zaś synek uczęszcza jeszcze do szkoły podstawowej. Krysia, podobnie jak Zosia, jest związana z NOT-em od wielu, wielu lat, a poza tym jest "profesorką" chemii w szkołach podstawowych i średnich Trójmiasta, zaś dzisiaj zalicza się do grona dzielnych współorganizatorów Zjazdu.

Terenia, tak jak Krysia, jest od dawna "belfrem" w Technikum Przemysłu Spożywczego. Jeden jej syn jest asystentem matematyki na Uniwersytecie Gdańskim, drugi studiuje ekonomię. Brygida zaś, to niezależna artystka z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i para się z powodzeniem artystyczną ceramiką. Basia, także "aktywistka" NOT-u, i Marylka, po przepracowa-

niu mnóstwa lat w zlikwidowanych właśnie Zakładach Kruzyw i Ceramiki Budowlanej, zmęczone tym wszystkim, marzą już o emeryturze, choć to nieco za wcześnie, przy czym Basia - o zgrozo! - przyznaje się cichaczem, a może właśnie z dumą, do maleńkiej wnuczki. Córeczka zaś Andrzeja, który jest głównym technologiemy porcelany w Lubianie, jest jeszcze za młoda, aby mówić o jej sukcesach naukowych, lecz za to jest śliczną dziewczynką, podobną z urody do tatusia.

I tak patrząc na te wszystkie bez wyjątku roześmiane, radosne i szczęśliwe twarze, czy nie można poczuć się również jak one młodo i szczęśliwie?

Na zakończenie tego pięknego spotkania, pełnego wspomnień z przeżywanych kiedyś wspólnych lat studiów i młodości, całe towarzystwo udało się w pośpiechu - bo czas naglił i czekały autokary - do Jastrzębiej Góry. Tam bowiem odbędzie się przypuszczalnie najbardziej efektywny ciąg dalszy rozpoczętej dziś, z takim powodzeniem, kuracji odmładzającej. Tam, w pięknej nadmorskiej miejscowości, będzie ona prowadzona aż do białego ranka, przy kieliszku szampana i przy dźwiękach skocznej muzyki. *Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...*

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*

Złoto dla siatkarzy Politechniki Gdańskiej

Pod koniec maja br. po raz pierwszy odbyły się w Gliwicach Mistrzostwa Polski Szkół Wyższych w **Siatkówce Płazowej**. Jest to nowa dyscyplina sportu, którą coraz szerzej interesują się nie tylko sportowcy na Wybrzeżu, ale również i w całym kraju. W zawodach brało udział ponad 30 uczelni. Siatkarze Politechniki Gdańskiej rozegrali najpierw mecze z zespołami samych Politechnik (Wrocławskiej, Białostockiej, AGH Kraków, Warszawskiej, Opolskiej i Śląskiej) odnosząc 6 kolejnych zwycięstw i zdobywając **złoty medal**.

Następnie mistrzowie i wicemistrzowie poszczególnych typów uczelni walczyli o tytuł mistrzowski. Drużyna Politechniki Gdańskiej ponownie spisala się doskonale, wygrywając 2 mecze eliminacyjne (z Uniwersytetem Śląskim i WSP w Bydgoszczy). W walce o złoty medal zmierzyła się ze swoimi kolegami z gdańskiej AWF. Finał "gdański" zakończył się powtórnie zwycięstwem Politechniki Gdańskiej z wynikiem 15:9 oraz ... **drugim złotym medalem**.

Trenerem zespołu jest mgr Ryszard Mikołajewski, zaś Politechnikę reprezentowali: Piotr Wesołowski (ETI, V r. - kapitan zespołu), Sebastian Winiarski (EiA, IV r.) i Piotr Szczepański (ZiE, III r.).

Z satysfakcją należy wspomnieć, że Piotr Wesołowski i Sebastian Winiarski dwa lata temu zdobyli tytuł wicemistrzowski w oficjalnych Mistrzostwach Polski. Wtedy to właśnie, podczas meczu finałowego, Piotr Wesołowski, pomimo decyzji sędziego, przyznał się do dotknięcia piłki podczas blokowania. Za ten gest Polski Komitet Olimpijski przyznał naszemu studentowi nagrodę "fair-play". Nagroda ta, którą przyznaje się tylko raz w roku, została wręczona podczas wyboru "Najlepszego sportowca 1997 roku".

*Ryszard Mikołajewski
Studium Wychowania Fizycznego i Sportu*



Studenci-medaliści u Rektora. Od lewej:

R. Mikołajewski - trener zespołu siatkarzy, P. Wesołowski, prof. A. Konczakowska - prorektor ds. kształcenia, P. Szczepański, D. Szymańska, S. Winiarski, prof. A. Kołodziejczyk - rektor PG, J. Markowski - kierownik SWFiS

Złoty medal dla gdańskiej mistrzyni karate

Durga Szymańska, studentka IV roku Wydziału Budownictwa Lądowego, zdobyła **złoty medal** na Mistrzostwach Szkół Wyższych w Karate.

Durga uprawia karate od 10 lat i obecnie ma już legitymację ze stopniem 2 DAN. Od 1994 r. jest członkiem Kadry Narodowej Polski, biorąc udział w licznych krajowych i międzynarodowych turniejach. Jej dotychczasowe sukcesy to m.in. zdobycie pierwszego miejsca na Otwartych Mistrzostwach Niemiec w 1996 r. i pierwszego miejsca na Międzynarodowych Mistrzostwach USA w 1998 r.

KRÓTKA RZECZ O KALENDARZU

Nadchodzący rok 2000, pomimo że jest rokiem kończącym pełne stulecie, będzie rokiem przestępnym. Zdarzenie takie zachodzi raz na czterysta lat, a że jest to jednocześnie ostatni rok tysiąclecia, stąd okazja, aby zainteresować się kalendarzem.

Rok zwrotnikowy, czyli czas, jaki upływa pomiędzy dwoma kolejnymi przejściami Słońca przez punkt porównania wiosennego, liczy 365 dni, 5 godzin, 18 minut i 46 sekund, czyli 365,2422 dnia. I właśnie to, że nie zawiera ani pełnej liczby dni, ani pełnej liczby tygodni księżycowych, powoduje, iż mimo trwających od tysięcy lat prób, nigdy, w żadnym obszarze kulturowym, nie udało się opracować uniwersalnego kalendarza, powtarzalnego z roku na rok. Jest to niemożliwe.

Kalendarz, jakiego obecnie używamy, jest kalendarzem słonecznym, wywodzącym się z pierwotnego kalendarza rzymskiego, ustanowionego przez króla Numę Pompiliusza (715-675 przed Chr.), i wzorowanym na kalendarzu egipskim. Rachuba czasu w kalendarzu Pompiliusza rozpoczęła się od założenia Rzymu - ab Urbe condita (A.U.C.), to jest od roku 754 przed Chr. Niestety, informacje, jakie udało mi się zebrać na temat tego kalendarza, są nadzwyczaj sprzeczne. Dotyczy to zarówno długości poszczególnych miesięcy, jak i liczby miesięcy w roku. Tym niemniej można sobie wyrobić pogląd, że z biegiem czasu ustalili się kalendarz mający 365 dni, podobnie jak jego egipski pierwowzór. Rok dzielił się na 12 miesięcy. Pierwszym miesiącem był Martius (marzec), nazwany od imienia boga wojny Marsa, potem następował Aprilis - od łacińskiego słowa aperire - otwierać. Nazwie tej przypisywane są różne znaczenia (np.: ziemia otwiera się na przyjęcie zasiewu). Trzecim miesiącem był Maius - od bogini Mai, czwartym Junius - od bogini Junony. Kolejno następowały miesiące o nazwach liczebnikowych: Quintilis - piąty, Sextilis - szósty, September - siódmy, October - ósmy, November - dziewiąty, December - dziesiąty. Przedostatnim miesiącem był Ianuarius - od boga Janusa, ostatnim Februarius, miesiąc ekspiacji. Miesiące miały naprzemian 31 i 30 dni, z wyjątkiem ostatniego (lutego), który liczył 29 dni.

Natomiast rzymskie nazwy dni tygodnia pochodziły od siedmiu znanych w starożytności planet, do których zaliczano również Słońce i Księżyc, a więc zaczynając od niedzieli: Solis dies - dzień Słońca, Lunae dies - dzień Księżyca, Martis dies - dzień Marsa, Mercurii dies - dzień Merkurego, Jovis dies - dzień Jowisza, Veneris dies - dzień Wenus, Saturnus dies - dzień Saturna. W czasach chrześcijańskich zmieniono nazwę niedzieli z dnia Słońca na dzień Pański - dies Dominicus, a soboty z dnia Saturna na Sabbati dies.

Ponieważ długość roku kalendarzowego była o około 1/4 dnia krótsza od długości roku zwrotnikowego, co cztery lata daty w kalendarzu przemieszczały się o jeden dzień względem zjawisk astronomicznych, takich jak porównania czy przesilenia. Kalendarz "spóźniał się". Z czasem rozbieżność stała się tak duża, że w roku 708 od założenia Rzymu (46 lat przed Chr.) Caius Julius Caesar polecił Aleksandryjskiemu astronomowi Sosigenusowi zreformować kalendarz. Sosigenus przyjął, że długość roku powinna wynosić 365 i 1/4 dnia, co uzyskał w genialnie prosty sposób, wprowadzając co cztery lata, ściślej w latach podzielnych przez cztery - rok mający 366 dni, zwany rokiem przestępnym albo bisekstylnym (dwuszóstkowym). W roku przestępnym miesiąc Februarius (luty) był o jeden dzień dłuższy. Jednocześnie, na cześć Juliusza Cezara, miesiąc Quintilis (lipiec) przemianowano na Julius. W około 40 lat później, następca Juliusza, Octavianus Augustus, polecił zmienić nazwę miesiąca Sextilis (sierpień) na Augustus, i żeby nie być gorszym od Juliusza, zwiększył długość swojego miesiąca z 30 na 31 dni. Zakłócił w ten sposób dotychczasowy rytm długości miesięcy, ale jednocześnie zbudował sobie wieczny pomnik, bowiem rzymski Augustus przetrwał do dziś, między innymi jako August w języku angielskim i niemieckim, Aout w języku francuskim, Agosto w językach włoskim, hiszpańskim, portugalskim.

Średnia długość roku w nowym kalendarzu była już bardzo bliska długości roku zwrotnikowego. Wprowadzie tym razem kalendarz "spieszył się", ale błąd wynosił zaledwie $365,25 - 365,2422 = 0,0078$ dnia, to jest około 11 minut rocznie. Różnica jednego dnia pojawia się dopiero co 128 lat.

Kalendarz juliański został przyjęty przez Kościół na pierwszym soborze powszechnym, zwołanym przez cesarza Konstantyna w Nicei, w Azji Mniejszej w 325 r., i kto wie, czy nie byłby używany do dzisiaj, gdyby nie pojawił się problem z ustalaniem dat Wielkanocy i związanych z nią ruchomych świąt kościelnych. Otóż, zgodnie z decyzją soboru, Święto Zmartwychwstania Pańskiego powinno być obchodzone w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca. W ten sposób nawiązano do żydowskiego kalendarza księżycowego i nawet w wielu językach przyjęła się nazwa Wielkanocy pochodząca od nazwy żydowskiego święta Przejścia - Pesach; Paques po francusku, Pascua po hiszpańsku, Pasqua po włosku. Powiązanie Wielkanocy z wiosennym porównaniem było niewątpliwie podyktowane chęcią wyrugowania pogańskich świąt wiosny, ślad czego przetrwał w językach germańskich. I tak w Anglii Wielkanoc nazywa się Easter od anglo-saksońskiej bogini wiosny Eastre, a w Niemczech - Ostern od germańskiej bogini Oestro.

Trudności z ustalaniem prawidłowej daty Niedzieli Wielkanocnej wynikały z wątpliwości, czy wiosenne porównanie przyjmować zgodnie z datą w kalendarzu, którą w roku Soboru Nicejskiego był - tak jak obecnie - 21 marca, czy na podstawie obserwacji astronomicznych. Tymczasem na skutek tego, że średnia długość roku kalendarzowego była o 0,0078 dnia za długa, co 128 lat, pomiędzy tymi datami, przybywał kolejny dzień różnicy. A że jednocześnie obserwacje astronomiczne były mało dokładne, trudno się dziwić, że od roku 1477 do 1532, jakoby ponad 30 razy błędnie ustalono datę Wielkanocy. Ostatecznie w roku 1582 papież Grzegorz XIII polecił ponownie zreformować kalendarz. Reforma polegała na zmniejszeniu liczby lat przestępnych przez przyjęcie zasady, że lata kończące pełne stulecie, aby były przestępne, muszą być podzielne przez 400, a nie przez cztery, jak dotychczas. Pierwszym takim rokiem stał się rok 1600, następnym będzie nadchodzący rok 2000; lata 1700, 1800, 1900 itd. stały się latami zwykłymi. Jednocześnie usunięto z kalendarza 10 dni w taki sposób, że po czwartku 4 października 1582 r. nastąpił bezpośrednio piątek 15 października. W znanej mi literaturze przedmiotu spotyka się zawsze określenie, że w roku 1582 skorygowano kalendarz, usuwając z niego 10 dni w celu przywrócenia zgodności dat ze zjawiskami astronomicznymi, nie precyzując dlaczego właśnie 10 dni i jaki był rok odniesienia. Raz tylko, we francuskim podręczniku astronomii znalazłem wyjaśnienie, że miało tu chodzić o powrót do stanu, jaki panował w roku wprowadzenia kalendarza juliańskiego. Oczywisty błąd, bowiem od tego czasu minęło 1628 lat, co podzielone przez 128 daje 12,7 dnia, a nie 10. Otóż rokiem odniesienia był rok Soboru Nicejskiego, i istotnie: $(1582-325):128 = 9,8$. Stąd owe 10 dni. Średnia długość roku kalendarza gregoriańskiego jest niemal dokładnie równa długości roku zwrotnikowego. Na pojawienie się błędu jednego dnia trzeba czekać ok. 3300 lat.

Kalendarz gregoriański, jako "papieski", przyjmował się bardzo opornie w krajach protestanckich, a jeszcze bardziej w prawosławnych. W Niemczech wprowadzono go w 1700 r., jako tzw. "nowy", w Anglii w 1752 r., a w Rosji dopiero w 1918 r. W cerkwi prawosławnej i w kościołach katolickich obrządku wschodniego używany jest w dalszym ciągu kalendarz juliański, a że od czasu reformy różnica pomiędzy kalendarzami wzrosła o dalsze 3 dni, obecnie Boże Narodzenie i Święto Trzech Króli obchodzone są w Kościele prawosławnym o 13 dni później niż w katolickim, a po roku 2100 będzie to już 14 dni. Natomiast nie udało mi się dociec, dlaczego Wielkanoc nie jest obchodzona jednocześnie w obu kościołach, jakkolwiek data tego święta powinna zależeć tylko od wiosennej pełni księżyca. Jak wiadomo, istnieje bardzo duża rozpiętość czasu pomiędzy datami najwcześniejszej i najpóźniejszej Niedzieli Wielkanocnej, obchodzonej w kościele katolickim. Jeżeli tak się zdarzy, że w pierwszym dniu wiosny, to jest 21 marca nastąpi pełnia księżyca, a dniem tym będzie sobota, to 22 marca, czyli w pierwszą niedzielę po wiosennej pełni, wypadnie najwcześniejsza Wielkanoc. Jeżeli jednak pełnia pojawi się o dzień wcześniej, czyli 20 marca, a dniem tym będzie również sobota, to pierwsza wiosenna pełnia księżyca nastąpi w 29 dni

później, w niedzielę 18 kwietnia, stąd najpóźniejsza Wielkanoc będzie obchodzona dopiero w niedzielę 25 kwietnia.

W roku 1279 od założenia Rzymu, zakonnik Dionisius Exiguus zaproponował, aby rachubę lat rozpoczynać od Narodzenia Chrystusa. Exiguus obliczył, że Chrystus urodził się 25 grudnia 754 r. A.U.C., a za początek roku przyjął datę o dziewięć miesięcy wcześniejszą, to jest dzień 25 marca - święto Nawiedzenia Pańskiego. W ten sposób rok 1279 A.U.C. stał się rokiem 525 Anno Domini (A.D.), czyli 525 po Chrystusie. Roku zerowego nie wprowadzono. Z czasem lata poprzednie zaczęto liczyć w przeciwnym kierunku, jako lata Ante Christum (A.C.) - przed Chrystusem.

W Polsce rozpowszechnił się zwyczaj, ugruntowany w czasach PRL, używania określeń "przed naszą erą" i "naszej ery" zamiast "przed Chrystusem" i "po Chrystusie". Przeglądając książkę dotyczącą rachuby czasu, wydaną w latach osiemdziesiątych, znalazłem następujące zdanie: "Obecnie zarzuca się nazwę era chrześcijańska, a lata liczone według tej ery - jako niewiele mające wspólnego z tą datą - latami po narodzeniu Chrystusa". Przy czym zwrot "niewiele mające wspólnego z tą datą" wynika, wg autora, z faktu, że przyjęta przez Dionisiusa Exiguusa data urodzenia Chrystusa nie jest dokładna. Uzasadnienie absurdalne, ale znamienne dla tamtych czasów. Tymczasem na świecie na ogół nie ma takich obiekty. We Francji używa się dalej "avant J.Christ" i "après J.Christ", we Włoszech "avanti Cristo" i "dopo Cristo", w piśmiennictwie anglojęzycznym stosowane jest powszechnie "Before Christ (B.C.)" i łacińskie (!) "Anno Domini" (A.D.). W wydanej niedawno w Polsce monumentalnej monografii "Europa", angielskiego historyka Normana Daviesa, pojawiły się skróty "n.e." i "p.n.e.". Nie miałem wprawdzie w ręce angielskiego wydania tej książki, ale jestem pewien, że jest tam zawsze A.D. i B.C., tak jak w znanych mi oryginalnych pracach tego autora. Podobnie, kiedy oglądałem w telewizji anglojęzyczne programy historyczne, dziwiłem się, słysząc tłumacza mówiącego "przed naszą erą", gdy w tle przebiega, wyciszony, zwrot B.C. Zdawać by się mogło, że w Polsce stosowanie ery chrześcijańskiej jest ustawowo zabronione.

Wracając do kalendarza. Zaskakująca jest dokładność, z jaką Dionisius Exiguus ustalił, co do dnia, datę urodzenia Chrystusa na 25 grudnia, podczas gdy nawet sam rok tego wydarzenia wzbudzał zawsze wątpliwości. Obecnie przypuszcza się, że Chrystus urodził się bądź o kilka lat wcześniej, bądź o kilka lat później. Najwyraźniej chodziło tu - podobnie jak w przypadku Wielkanocy, o zastąpienie Świętem Bożego Narodzenia rzymskich Saturnaliów, których początek obchodzono w dniu zimowego przesilenia. Łatwo obliczyć, że jeżeli w roku 325, roku soboru w Nicei, zimowe przesilenie - tak jak obecnie, wypadło 22 grudnia, to w czasie wprowadzenia kalendarza juliańskiego, czyli o 371 lat wcześniej, zjawisku temu odpowiadała data o trzy dni późniejsza, bowiem $371:128 = 2,9$ dnia, a więc dokładnie 25 Decembris. Podobnie w dawnym Rzymie dzień 25 marca, przyjęty przez Exiguusa za początek roku, zbiegał się z wiosennym porównaniem, jako że na całym starożytnym Bliskim i Środkowym Wschodzie rozpoczynał rok właśnie w dniu wiosennego lub jesiennego porównania. Dionisius Exiguus nadał tylko tej dacie inne uzasadnienie. Jednak w czasach chrześcijańskich panowała pod tym względem duża dowolność. W państwie Franków Karola Wielkiego (784-814) jako początek roku przyjmowano dzień Bożego Narodzenia, później we Francji, aż do roku 1563 - Wielkanoc. Podobnie

w Anglii - od wieku VI do roku 1066 rozpoczynał rok na Wielkanoc, a następnie, od 1155 - w dniu 25 marca.

Obecny zwyczaj rozpoczynania roku dnia 1 stycznia wprowadzony został znacznie później, bo w 1563 r. edyktem króla francuskiego Karola IX, a w Anglii dopiero w 1752 (!). I tak jak kiedyś Cezar August zniszczył rytm długości miesięcy, tak w 1500 lat później Karol IX ostatecznie popsuł kalendarz, pozbawiając sensu liczebnikowe nazwy miesięcy, używane dalej w większości języków europejskich, a pochodzące od łacińskich September, October, November, December, które stały się teraz absurdalne: dziewiątym, dziesiątym, jedenastym, dwunastym. Ponadto miesiąc luty, jakim regulowana jest długość roku, znalazł się - mało logicznie - na drugim, zamiast na ostatnim miejscu kalendarza. Toteż nic dziwnego, że Camille Flammarion, francuski astronom z XIX wieku, nazywany "poetą astronomii", zapytał: "Czyż nie słuszniej było rozpoczynać rok w dniu wiosennego porównania, kiedy cała przyroda budzi się do życia, gdy tymczasem wybrano najbardziej nieprzyjemną porę, aby w chłodzie, deszczu, śniegu, zamieci, życzyć sobie dobrego Nowego Roku"? Pomysł Karola IX tak wzburzył astronoma, że obdarzył go epitetem "triste roitelet" - żalony królik.

W roku 1793 republikański kalendarz francuski przywrócił na krótko starożytny zwyczaj rozpoczynania roku w dniu jesiennego porównania 23 września. Kalendarz republikański znany jest z bardzo pięknych nazw miesięcy, nie mających nic wspólnego z nazwami rzymskimi, a pochodzącymi od zjawisk przyrodniczych, np. pluviôse - deszczowy, czy thermidor - upalny, a więc podobnie, jak to ma miejsce u nas, bo nawet nazwę miesiąca floreal (od 19 kwietnia do 8 maja) można dosłownie tłumaczyć jako kwiecień. Ciekawostką tego, bardzo zresztą skomplikowanego kalendarza, było zastąpienie tygodni dekadami, z liczebnikowymi nazwami dni: primidi, duodi, tridi itd.

Nie udało mi się dowiedzieć, kiedy w Polsce współczesne nazwy miesięcy wyparły nazwy łacińskie, ale pochodzenie ich musi być dość odległe, i tak pisze Aleksander Brückner - "Nasze, czeskie, bałkańskie i malaruskie nie były 'miesięcznymi', lecz gospodarze oznaczali nimi czas zajęć własnych, stanu przyrody, nawet dni około świąt kościelnych, np. gromnicznik dla lutego (...). Stąd wynika ich chwiejność, nie tylko np. Czesi mają inne nazwy niż Polacy, ależ i w samej Polsce chwiejne one bardzo, jeszcze w 16 w." Etymologia polskich nazw miesięcy bywa czasem zaskakująca - ponownie cytuję Brücknera - "Styczeń, tyczeń, bo 'tyki' wtedy gospodarz sporządza".

Na zakończenie informacja dla tych, którzy chcieliby wykorzystać stare kalendarze. Kalendarz w latach zwykłych powtarza się w cyklu 6;11;11 lat. Dla przykładu, w roku bieżącym 1999 można posługiwać się kalendarzami z lat 1993, 1982, 1971 itd. W latach przestępnych cykl jest nieco odmienny, mianowicie 5;6;11;6 lat, a więc w roku 2000 będą to kalendarze z lat 1995, 1989, 1978, 1972, z tym że w trzech pierwszych wypadkach, powtarzalność nie obejmuje stycznia i lutego. Pełna powtarzalność w latach przestępnych zachodzi jedynie co 28 lat. Oczywiście powtarzalność nie dotyczy dat ruchomych świąt kościelnych, jako zależnych od kalendarza księżycowego.

Andrzej Jarosz

Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

Inna Gdynia

Niepodległa Polska wróciła nad Bałtyk 10 lutego 1920 roku, uzyskując 74 kilometry wybrzeża i dwa niewielkie, płytkie porcie - Puck i Hel. Gdańsk traktatem wersalskim uznany został Wolnym Miastem, pozostającym jednak w polskim obszarze celnym, co oznaczało gwarancję swobodnego przepływu towarów. Gdańsk był jednak portem podupadającym, większość ładunków dla Niemiec przejmowały inne porty - ongiś hanzeatyckie - Hamburg, Kilonia, Lubeka, Rostock. Tak więc

decyzję o budowie Gdyni podjęto nie tylko ze względów politycznych, również dlatego, że Gdańsk był portem zbyt małym, by sprostać ambitnym zamierzeniom gospodarczym Rzeczypospolitej. A przecież rozbudowa Gdańska za pomocą polskich środków nie wchodziła w grę - to już ze względów politycznych.

Gwarancje polskich praw w Gdańsku nadzwyczaj szybko okazały się bardzo problematyczne. W sierpniu 1920 roku

Gdańsk odmówił wyładowania materiałów wojennych, dostarczonych przez Francję. I wtedy na historycznej mapie pojawiła się Gdynia.

Skierowano statki właśnie w to miejsce. Morze pod Gdynią było głębokie i umożliwiające podejście transportowców blisko brzegu. Rozładowywano je na barki, ale jednocześnie budowano daleko wysunięty w morze, drewniany pomost - zaczątek portu. Tak właśnie narodziła się nowa Gdynia.

Jaka jednak była przedtem?

W ogromnej większości publikacji mówi się o "ubogiej wiosce" "rybackiej osadzie", czy wręcz - "zapadłej wioszczyźnie". Otóż jest to po prostu nieprawda.

W roku 1920 Gdynia liczyła 110 domów mieszkalnych i około 1200 mieszkańców, w zdecydowanej większości Polaków. Zajmowali się oni przede wszystkim rolnictwem, ale i hodowlą - bydła, koni, trzody chlewnej.

Plombowanie miasta - szansa dla Gdyni

Gdynia jest największym z młodych miast polskich, choć pierwsze wzmianki w dokumentach lokacyjnych o wsi Gdynia mówią, że była własnością zakonu kartuzów. Jeszcze do przełomu XIX i XX wieku pozostawała wsią rybacką liczącą 1300 mieszkańców.

Dopiero rok 1922 (sejmowa decyzja o budowie portu) okazał się przełomowym w dziejach rozwoju Gdyni. Prawa miejskie przyznano jej w 1926 roku, kiedy to liczba mieszkańców przekroczyła 15 tysięcy.

O ile port budowano w sposób przemyślany, o tyle miasto rozwijało się samorzutnie, chaotycznie i bezplanowo. W latach trzydziestych dokonano zabudowy śródmieścia Gdyni. Wzniesiono szereg budynków projektowanych przez znanych architektów: między innymi gmach PLO, Dom ZUS, gmach Sądu Okręgowego, Dom Banku Gospodarstwa Krajowego, gmach Urzędu Poczty i Telegrafów, Dworzec Morski.

Mimo to kwestią bezsporną pozostaje fakt fatalnego planu zabudowy miasta, nie uwzględniający należycie potrzeb funkcjonalnego połączenia miasta z portem. Beładna zabudowa centrum razi monotonią i brakiem indywidualizmu, przypominając swym wyrazem koszary. Do dnia dzisiejszego nie został rozwiązany problem zabudowy plombowej reprezentowanej połowicznie przez parterowe pawilony czy budki przypominające targowe stragany, o nie najlepszej wartości technicznej i mocno wątpliwej estetyce.

Nowa rzeczywistość ekonomiczna daje szansę na wzrost zainteresowania parcelami położonymi w centrach, które wykorzystane i zainwestowane w odpowiedni sposób dają możliwość ożywienia, rozruszania i zindywidualizowania monotonej zabudowy ulicowej nowymi w swym wyrazie i estetyce obiektami.

Gospodarstwa rolne znajdowały się na całym terenie dzisiejszego miasta, nierzadko obejmując nawet i po 300 mórg. Posia-

dali je tzw. gburowie, zamożni chłopcy, sprzedający wytwarzane towary do Gdańska i Sopotu.

Już od początku XIX wieku przez Gdynię przebiegała solidna, bita droga, łącząca wieś z jednej strony z Sopotem, Oliwą i Gdańskiem, z drugiej - z Wejherowem i Lęborkiem. Zaś w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia poprowadzono przez Gdynię normalną, szerokotorową kolej, otwierającą ją w zasadzie na całą Europę. Wielu gdynian od pokoleń służyło na statkach handlowych i wojennych. Byli wykształceni - Gdynia posiadała dwie szkoły podstawowe (ewangelicką i katolicką), pobliska Chylonia - jedną, zaś w niedalekim Wejherowie znajdowało się pełne, dziewięcioklasowe gimnazjum klasycystyczne.

Na początku XX wieku Gdynia zaczyna nabierać charakteru letniskowego. Początkowo przyjezdni wynajmowali kwatery u mieszkańców, wkrótce jednak zaczęły tu powstawać normalne pensjonaty. Utworzona w Gdańsku Spółka Żeglugi Parowej "Wisła" (Dampfschiffartsgesellschaft "Weichsel") wybudowała już nad brzegiem morza, na terenie dzisiejszego Skweru Kościuszki, dwupiętrowy "Dom Zdrojowy" ("Kurhaus") z 16 pokojami do wynajęcia. Wybudowano również łazienki, podobne do istniejących do dziś Łazienek Północnych w Sopocie, i przystań dla małych statków żeglugi przybrzeżnej. Zlikwidowano je dopiero w roku 1930 - pod budowę mola.

Przed rokiem 1914, podczas sezonu, przebywało w Gdyni stale około 500 kuracjuszy, nie licząc przybyszów sobotnio-niedzielnymi, zazwyczaj z Gdańska. Jakże więc można mówić o zapadłej rybackiej wioszczyźnie! Rybactwem zajmowało się tu około 20 rodzin. Gdynia nie posiadała portu, połowy odbywały się więc z małych, żaglowo-wiosłowych łodzi, oczywiście blisko brzegu. To był jedynie margines, co prawda bardzo malowniczy...

Wiedząc to wszystko, trudno się dziwić, iż miejscem pod budowę nowego miasta portowego mogła być tylko Gdynia. Taką decyzję podjęto w roku 1920, zaś prace rozpoczęto na wiosnę 1921.

Budowa nie przebiegała jednak tak głęboko, jak dziś zwykło się sądzić. Nie brakło przeciwników, ludzi sceptycznych, nie bardzo wierzących w powodzenie i sens przedsięwzięcia. Brakowało również funduszy. Ogromnym sojusznikiem stała się nowo utworzona Liga Morska, która - dzięki umiejętnej propagandzie - potrafiła zaszczerpić społeczeństwu ideę Polskiej Morskiej. Prace przy budowie miasta i portu ruszyły pełną parą dopiero w roku 1926, kiedy tękę ministra przemysłu i handlu objął znakomity organizator, inż. Eugeniusz Kwiatkowski. Pierwszy etap zakończono o dwa lata wcześniej, niż uprzednio projektowano...

Miasto planowano z rozmachem, wykorzystując atrakcyjne usytuowanie między morzem a wzgórzami. Jednak budowa Gdyni nie nadążała za potrzebami rozbudowującego się i imponującego pracującego portu. W ciągu siedmiu lat (1926-1933)



jego zdolność przeładunkowa wzrosła dwudziestokrotnie, bijąc w ten sposób Gdańsk. Rozwijała się flota - przybywało marynarzy. Gdynia, podobnie jak w ćwierć wieku później Nowa Huta, ściągała ludzi z całego kraju, niczym pompa ssąca. Stawała się prawdziwym miastem portowym, z całą jego egzotyką, ale też nędzą, knajactwem i ciemnymi interesami. Robiono tu fortuny, ale i osiągnano dno upadku. Dla bezdomnych budowano baraki, nie mieszczące jednak wszystkich potrzebujących. Wielu marynarzy stawało się "hundami" pozostającymi na "biczu". Brakowało mieszkań.

Rzecz jasna, idee spółdzielczości mieszkaniowej, propagowane przede wszystkim przez lewicującą Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, musiały w Gdyni trafić na podatny grunt. To był przecież - pod tym względem - teren dziewiczy, do zdobycia! Sprzyjała temu również datująca się od roku 1925 polityka państwowa, dostrzegająca wreszcie wartość i znaczenie budowlanych inicjatyw społecznych.

W ten sposób, w roku 1928 powstała Gdynska Spółdzielnia Mieszkaniowa, której statut i sposoby działania były niemal kopią warszawskiej WSM. Nie ma w tym nic dziwnego - do zarządu wszedł przecież Stanisław Szwalbe, PPS-owiec i działacz spółdzielczy, proweniencji właśnie WSM-owskiej, a obok niego Stanisław Tołwiński, podobnego rodowodu. Kierownikiem Spółdzielni został Kazimierz Werner.

Członkami GSM byli przede wszystkim ludzie związani z gospodarką morską - dokerzy, remontowcy, kolejarze, robotnicy. Fundusze na podjęcie działalności inwestycyjnej Spółdzielnia otrzymała od Związku Pracowników Budowlanych i Związku Kolejarzy. Uzyskano również kredyty państwowe. Warto powiedzieć, iż Bank Gospodarstwa Krajowego udzielał takich kredytów w wysokości nawet 90 procent kosztów inwestycji.

Dość szybko wzniesiono dwa budynki ze 106 mieszkaniami. Stały one niedaleko nabrzeży, przy dzisiejszej ulicy Okrzei - z widokiem na słynną "wielką bramę" - jednego z ówczesnie największych dźwigów portowych na świecie. Mieszkania były niewielkie, półtora- i dwuizbowe, z balkonami i loggiami, o powierzchni niewiele ponad czterdzieści metrów kwadratowych, opalane piecami kaflowymi na węgiel. Między budynkami założono zieleniec, posadzono drzewa, ustawiono ławki.

W porównaniu ze śródmieściem Gdyni, zabudowanym nowoczesnymi domami, projektowanymi przez architektów tej

miary, co Piotrowski czy Szanajca owa pierwsza i, jak się okazało, jedyna - inwestycja GSM, nie prezentowała się zbyt okazale. Miała jednak stanowić dobry początek.

Okazało się wkrótce, że uzyskanie dalszych kredytów jest niemożliwe, przede wszystkim ze względu na kryzys. Użyto więc fortelu, zakładając nową spółdzielnię pod tą samą nazwą. I w 1939 roku kredyty te otrzymano. Niestety, wybuch wojny uniemożliwił ich wykorzystanie.

Wojna oszczędziła budynki przy ulicy Okrzei, zaś Gdynska Spółdzielnia Mieszkaniowa wznowiła swoją działalność 27 kwietnia 1945 r. W kilka miesięcy później założona została... III GSM. Jej zadaniem była odbudowa zniszczonych budynków przy ulicach: Orzeszkowej, Ujejskiego, Dzierżyńskiego, Kopernika, oraz dokończenie rozpoczętej przez okupantów budowy osiedla na Wzgórzu Nowotki (obecnie św. Maksymiliana).

Prowadzenie działalności budowlanej przez spółdzielnię mieszkaniową było w owych czasach ewenementem. Udało się to chyba tylko Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, na rozpoczętej jeszcze przed wojną kolonii na Kole. Gdynski przypadek, to wynik niemal kumoterskich "układów" z prezydentem miasta - przedwojennym działaczem spółdzielczym...

W roku 1948 wszystkie trzy Gdynskie Spółdzielnie Mieszkaniowe połączyły się w jedną, kończąc tym samym fikcyjne podziały. Do GSM przystąpiła również Spółdzielnia Budowlano-Mieszkaniowa Oficerów Marynarki i Pracowników; dysponowała ona w tym momencie 11 budynkami o 316 mieszkaniach.

Pokazujemy te domy na fotografiach. To jest inna Gdynia, Gdynia nie znana turystom, Gdynia obrzeży, Gdynia niezbyt zamożna i mało reprezentacyjna. Daleko jej do ulicy Świętojańskiej, Skweru Kościuszki, Alei Zjednoczenia, chociaż to tak bliźutko.

A co dalej z GSM? Tak, jak wszystkie inne spółdzielnie mieszkaniowe w kraju "zaprzestała" działalności inwestycyjnej. Dobrze, że chociaż pozwolono jej administrować tym, co posiadała. Dopiero tzw. nowa polityka mieszkaniowa, zainicjowana w roku 1956, umożliwiła podjęcie normalnej pracy.

Dzisiaj jest największą i najstarszą spółdzielnią mieszkaniową w Gdyni. Obchodzi 60-lecie.

*Krzyszyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury*

LECHI I CZECH

Dawno już nie byłem w państwie Czechów - naszych, od wieków, południowych pobratymców. Poza kilku krótkimi przejazdami samochodem "za chlebem" na Bliski Wschód przed przeszło ćwierćwieczem i dwoma niewiele dłuższymi pobytami w latach późniejszych, był to ostatnio, w maju br. (rys. 1), pierwszy mój nieco dłuższy, bo tygodniowy, pobyt w tym kraju; tym razem przebywałem głównie w Pradze, po "rozwodzie" Czechów i Słowaków. Wędrując dość intensywnie ulicami stolicy Czech i zwiedzając jej Politechnikę, miałem okazję do snucia refleksji na chyba klasyczny już temat charakteru obu naszych narodów i jego odbicia w życiu codziennym Polski i Czech. Moje odczucia rodziły się spontanicznie, w wyniku dość odosobnionych spostrzeżeń, i dlatego mogą one w jakiś sposób odbiegać od rzeczywistości. Tym niemniej, ogólne wrażenie można z pewnością uznać za nieda-



lekie prawdy. Moja relacja ma charakter faktograficzny - dalej idące komentarze pozostawiam czytelnikowi.

Pożegnanie z krajem nie było przyjemne, gdyż w drodze na lotnisko Okęcie próbowano mnie obrabować; ostrzeżony w porę przez pasażerów autobusu, zamiar ten udaremniłem. Standard lotu liniami czeskimi był przeciętny, natomiast praskie lotnisko Ruzyně, położone w odległości ok. 20 km od centrum miasta, jest bardziej "europejskie" niż nasze Okęcie, gdyż urządzenia portu lotniczego są znacznie rozleglejsze, a odprawa pasażerów - sprawniejsza. Do miasta mogłem jechać autobusem lub taksówką. W pierwszym przypadku musiałbym wykupić bilet w automacie (12 CSK; 1 PLN=12,5 CSK), a na to trzeba było mieć bilon; wybrałem drugą możliwość, gwarantującą zarazem bezpośredni dojazd do hotelu. Taksówki podjeżdżają na skinienie dyspo-



Rys. 1



Rys. 2



Rys. 3



Rys. 4



Rys. 5



Rys. 6

zatora, z którym ustala się koszt - średnio 400 CSK. Powróciłem myślami do Okęcia, gdzie ww. koszty kształtują się w praktyce prawie podwójnie. Tutaj taksówki są na drzwiach przednich szczegółowo oznakowane, z podaniem numeru bocznego, nazwy firmy - jej adresu i telefonu, oraz z cennikiem usług. Zakwaterowałem się w tanim hotelu asystenckim. Pokój miał własną łazienkę i WC oraz - lodówkę; ta ostatnia, ze względu na majowe upały, bardzo się przydała. Studencka obsługa w recepcji władała płynnie językiem angielskim.

Komunikacja w mieście jest rozwiązana bardzo dobrze. Istotną rolę odgrywa tu kościec trzech tras kolei podziemnej. Przy stacjach końcowych znajdują się duże parkingi, gdzie dojeżdżający do centrum miasta mogą pozostawić swoje samochody i, bez większej zwłoki, przesiąść się na metro. Wskutek tego w mieście nie obserwuje się korków komunikacyjnych i nie widzi też płatnych miejsc postojowych. Jeźdnie nie mają dziur, u nas dość powszechnych, a chodniki posiadają nawierzchnię, w dużej części - nową, wykonaną w różne desenie z dwubarwnej, drobnej kostki kamiennej.

Podaż towarów jest duża, ale mniej spotyka się wyrobów luksusowych, które widzi się u nas. M. in., w Pradze spotyka się mniej ludzi porozumiewających się, przy każdej okazji, telefonami komórkowymi - niż u nas, a luksusowym samochodem wydaje się głównie Skoda Octavia. Wynika to prawdopodobnie stąd, że przeciętny Czech zarabia, w stosunku do koniecznych wydatków, chyba mniej od Lecha, a ponadto - ten pierwszy zdaje się bardziej oszczędny od drugiego.

Na ulicach, z wyjątkiem rejonu dworca centralnego, nie widzi się wyzywających zachowań grup młodych ludzi, a także przemycających, o każdej porze, mężczyźni z tzw. "reklamówkami" w rękę, w drodze po piwo "bezalkoholowe", lub też - konsumujących je w przygodnych zakamarkach miejskich; wiemy, że widok taki jest u nas bardzo powszechny. Do picia piwa służą tradycyjne piwiarnie (rys. 2), lub małe restauracyjki (rys. 3), gdzie pije się je, owszem, ale kulturalnie, bez "rozrabiania".

W miejscach publicznych przeciętny Czech zachowuje się, w moim odczuciu, bardziej spokojnie od Lecha - mniej jest agresywności, również tej wywodzącej się z wandalizmu graffiti; nie odczułem nigdzie przepychania się - przeciwnie, ludzie są wzajemnie uprzejmi; nie widziałem plucia, także tego "wzmocnionego" wyzutą gumą. To ostatnie stało się u nas szczególnie modne, czego dowodem są, daleko nie szukając - liczne, trudne do usunięcia, ślady w pomieszczeniach naszej Alma Mater; prym wiedzie tu Gmach B (n.b. nie radzę wyznawcom takiego plucia podróży do Singapuru, bo za takie rzeczy płaci się tam bardzo wysokie kary, lub siedzi w kryminale). Wygląda na to, że Czech jest lepiej wychowany od Lecha.



Rys. 7



Rys. 8

Przeciётny Lech sły szał z pewnością o Hradczanach (Hradčany) - wzgó rzu zamkowym w Pradze (rys. 4), z katedrą Ś w. Wita (rys. 5); mniej natomiast wie, że równie wiekową tradycję ma też drugie wzgó rze: Vyšehrad - legendarna kolebka Przemysły dów; rys. 6 pokazuje znajdującą się tu XI-wieczną rotundę Ś w. Marcina. Czci się tu "naszego" Ś w. Wojciecha, który był w Pradze biskupem. Dziś Czech woła do niego (rys. 7):

SV. VOJTECHU
OZDOBO KNEŽSTVI
PATRONE ZEME CESKE
ORODIJL ZA NAS.

W świetle powyższego trudno się dziwić, że w r. 1038 Czech najechał Lecha i "odebrał" mu ciało męczennika.

Ciekawostką dla naszej społeczności akademickiej może być informacja, że na Małej Stranie, U REKTORA, można nabywać POTAVINY (rys. 8).

W Pradze (rys. 9) i poza nią (rys. 10) wielce dba się o wygląd zabytków z przeszłości. Wychowując społeczeństwo w tym duchu, bardzo rzadko widzi się wyrazy współczesnej subkultury na murach. Dojrzałe społeczeństwo, czerpiące wzorce z własnej wartościowej kultury, nie poddaje się presji obcych mód. Takie mam wrażenie, że u nas, gdzie triumfy święcą - tandetna ksenofobia z jednej i dziki pęd za "nowoczesnością" z drugiej strony - warto by czerpać z doświadczeń braci z południa.

O tym, że Czech jest mniej egzaltowany od Lecha i chodzi pewniej po ziemi, niech świadczy przykład szczytowego osiągnięcia techniki, jakim jest stalowy, łukowy, pełnościenny Most Zdakov (rys. 11), zbudowany nad Jeziorem Orlik jeszcze w 1967 r.; z rozpiętością podporową 330 m jest on, dziś jeszcze, największym tego typu mostem w Europie.

Wracałem do kraju z przeświadczeniem, że Czesi są najbardziej "europejskim" narodem wśród Słowian - ze wszystkimi zaletami (ale i wadami) tej tradycji. Pocieszając się, nabyłem w samolocie "Becherovkę" (0,51 za 8 PLN), którą krzepię się



Rys. 9



Rys. 10



Rys. 11

wciąż jeszcze. "Becherovka" uratowała mnie też pewnie przed uczuciami prozy w powrotnym autobusie z Okęcia i na Dworcu Centralnym w Warszawie.

Zbigniew Cywiński
Wydział Budownictwa Lądowego
(Wszystkie zdjęcia autora)

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (9)

JAK SPROWOKOWALIŚMY PIERWSZĄ STUDENCKĄ MANIFESTACJĘ

Po ukończeniu pierwszego roku studiów na Politechnice Warszawskiej, z tymczasową siedzibą w Lublinie, wraz z grupą kolegów dotarłem na Wybrzeże i wstąpiłem na II rok Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Byliśmy w większości daleko od domu, goli jak przysłowiowy święty turecki, i bez pieniędzy. Nie działał jeszcze system stypendialny, mogliśmy

dostać tylko jeden gorący posiłek w stołówce Bratniaka. Dużo czasu zajmowała ciężka praca społeczna przy odgruzowywaniu uczelni, tak że nie mieliśmy nawet czasu na szaber. Wówczas zresztą wszelkie dobra materialne, po kataklizmach wojennych, obozach, powstaniu, partyzantce, służbie frontowej, ekspatriacji, nie stanowiły dla nas istotnej wartości.

Najważniejsze było dla nas, że żyjemy i możemy studiować! Mieliliśmy wspianych profesorów, wymienię tylko kilku najznakomitszych: prof. M. T. Huber, prof. M. Broszko, prof. A. Polak. Stawiali nam wysokie wymagania, a młoda kadra adiunktów i asystentów cisnęła nas z gorliwością neofity. Nie było podręczników i skryptów, jedynym źródłem wiedzy były wykłady, więc i frekwencja na nich była z reguły 100-procentowa.

Moimi najbliższymi przyjaciółmi byli Zdzisio i Zbyszek. Ten ostatni był doskonałym organizatorem (słowo "manager" nie było jeszcze używane), pilnował spraw naszej trójki - zapisów na ćwiczenia i laboratoria, terminów sprawdzianów i kolokwiów, terminów egzaminów. Szczytowym jego osiągnięciem było zmobilizowanie nas do zdania jednego dnia trzech, co prawda niezbyt trudnych, egzaminów. Zbyszek miał brązową, futrzaną kurtkę, typu lotniczego. Ta informacja będzie później istotna. Zima 1945/46 była bardzo surowa. Na Politechnice skończył się opał, w nielicznych, nadających się do użytku, salach wykładowych było zimno, a w laboratorium maszynowym zamarzająca woda zniszczyła szereg maszyn. Zmarznięci, pozbawieni ciepłej odzieży i niedokarmieni patrzyliśmy z zawiścią na przydzielanie administracji i urzędnikom paczek żywnościowych UNRRA, dla nas nieosiągalnych. Nie byliśmy pieszczoszka mi władzy ludowej podejrzewającej nas, może i nie bez podstaw, o brak entuzjazmu do nowego ustroju.

Jednego styczniowego ranka poinformowano nas, że zaraz będzie niezapowiedziane kolokwium z mechaniki, zamiast wykładu. Profesorowi nie chciało się przyjść na wykład do zimnej sali, więc przysłał swego asystenta, by zrobił sprawdzian, do którego nie byliśmy przygotowani.

To było nie fair! Głowiliśmy się, jak uniknąć nieuchronnej kompromitacji. Padły różne sugestie - zgłosić protest, odmówić pisania, ostentacyjnie uciec z sali. To były rozwiązania niepoważne.

Zbyszek wpadł na genialny pomysł: robimy ogólną manifestację protestującą przeciw dyskryminowaniu nas. Nie dają nam opału, nie dają nam unrowskich paczek. Nie można dłużej tolerować takiej niesprawiedliwości!

Zbyszek wyskoczył na zajęcia innych wydziałów, agitował do demonstracji, i ta iskra zapaliła płomień buntu. Zebraliśmy się zaraz przed gmachem głównym, wkrótce była już tam cała społeczność studencka. Zbyszek tylko napuszczał, a inni się

rozpalali i gorąco nawoływali do protestu. Padło hasło: idziemy do wojewody, żądamy opału i paczek!

Wyłonili się samorzutnie przywódcy, Zbyszek przezornie wtopił się w tłum. Już ruszyliśmy; rozgorączkowana młodzież wylała się za bramę uczelni, tworząc pochód zmierzający do Gdańska.

Na przedzie jechali koledzy na dwóch ciężkich, wojskowych motocyklach z przyczepami (BMW Sahara i polski Sokół), za nimi szliśmy całą szerokością Alei Zwycięstwa.

Teraz ocknął się rektor, prof. Turski. Dopóki wicowaliśmy na podwórzu, nie pojawił się nikt z kierownictwa uczelni, bojąc się odpowiadania na nasze słuszne zarzuty. Teraz była już inna sytuacja, mogąca spowodować ostrą reprimendę ze strony partii. Rektor wsiadł do swojej "demokratki" (tak wówczas nazywano wielkie limuzyny Chevrolet dla VIP-ów), boczną jezdnią zajechał na czoło pochodu i w rozpiętej koszuli, z rozkrzyżowanymi ramionami, niczym Rejtan, wzywał do opamiętania i powrotu do uczelni. Bezskutecznie!

Większość studentów wówczas nie była mięczakami, miała za sobą twardą wojenną szkołę, na te dramatyczne gesty reagowała więc jedynie uśmiechem i omijając przeszkodę szła naprzód. Trzykrotnie jeszcze profesor powtarzał swe wysiłki, ale na próżno. Tak zwana postępową młodzież (ZMP, OM-TUR) była nieliczna i słabo zorganizowana, zresztą też chciała dostać paczki.

Władze bezpieczeństwa zaczęły natychmiast ściągać aktyw robotniczy (ZOMO jeszcze wówczas nie było), ale my byliśmy już pod urzędem i żądaliśmy spotkania z wojewodą. Wystaliśmy delegację na pertraktację, a my w nastroju radosnego happeningu skandowali różne dowcipne okrzyki.

Przy wejściu stało dwóch wartowników z безпе ki w zielonych waciakach i czapkach sowieckiego typu. Mieli w rękach pepesze i odzywali się do nas bardzo niegrzecznie. Nam to nie odpowiadało i też nie pozostawaliśmy im dłużni. Wartownicy zarepetowali broń, sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, a na domiar złego rozeszła się wiadomość, że naszą delegację aresztowano. Widać było, że władze grają na zwłokę, by ściągnąć posiłki. Zdecydowaliśmy już bardziej nie prowokować wartowników i zaczęliśmy z nimi pertraktować. Okazało się, że są na nas bardzo obrażeni. Myśleliśmy, że powodem tego były nasze wycieczki na temat ich pochodzenia po kądzieli, ale okazało się, że kamieniem obrazy było nazwanie ich ruskami. Nasi przywódcy uznali, że tak człowieka nie można poniewierać i publicznie ich przeprosili, co spotkało się z powszechnym aplauzem zgromadzonych.

Jednak nasza delegacja nie wracała. Poszli więc nowi wysłannicy i zapowiedzieli, że jeżeli natychmiast nasi koledzy nie wyjdą, to my po nich do gmachu pójdziemy. A było nas chyba z pięciuset chłopca. Na to dictum władze poszły po rozum do głowy (i dotąd nie wróciły, jak mówili złośliwi), wszystkich wypuszczono, opał i paczki obiecane.

Wróciliśmy wyraźnie podniesieni na duchu jako zwycięzcy. Cel osiągnęliśmy - kolokwium się nie odbyło! A w ciągu tygodnia przydzielono opał Politechnice, a nam paczki.

Tę imprezę najbardziej odczuł Zbyszek. Dowiedział się, że bezpieka szukała tego s... syna, ubranego w taką brązową, futrzaną, lotniczą kurteczkę, który nawoływał do manifestacji. Od tego dnia Zbyszek chodził już w płaszczu, ani razu kurteczki nie nałożył.

Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny



Trójka przyjaciół. Od prawej: Zdzisio, Zbyszek, autor, 1945 r.

Magister (cd.)

NIESPOKOJNY DUCH

Powolałeś mnie, Panie, na ten padół, wyposażając w ducha wyjątkowo niespokojnego. Pierwsza zauważyła to moja matka: "Cóż to za niespokojny duch". Na ludzi "niespokojnych" patrzyła krytycznie. Moją babcie, matkę, ciotki, wujków wypełniał duch pokory - spokojne duchy.

Wyjątek stanowiła ciotka Anna: "Duch nad wyraz niespokojny". W cioci Annie to już prawie sam diabeł siedział. Ciągłe ją gdzieś gnało. W jej niepokoju szumiało sporo pospolitego "narwaństwa". Przygody ciotki Anny kwitowano lapidarnym stwierdzeniem: "Szuka guza". Wielokrotnie zmieniała miejsce zamieszkania, trzy razy wychodziła za mąż, dwukrotnie zmieniała światopogląd i wyznanie. Kiedy ciotka Anna - pędziwiatr - wracała z dalekiego zamyślenia, po wędrowce ścieżkami niespełnionych marzeń, patrząc w moje oczy, szczerze radziła: "Nie pozwól, chłopcze, zaszufladkować się".

Mój niepokój był bardziej konstruktywny, znalazł cichą przychylność i finansowe wsparcie ojca. Podziwiał on moją fantazję, ciekawość, upór. Łagodził gniew matki, kiedy półki, szafy pokoju, sypialni, kuchni zapełniałem modelami czołgów, samolotów, okrętów wojennych, lokomotyw, samochodów... Kiedy wysiadały w całej kamienicy korki bezpieczeństwa przy próbach zbudowania elektromagnesu, aparatu filmowego, silnika elektrycznego, radia... Kiedy na strychu powstawała czasza spadochronu, kadłub szybowca czy kadłub jednoosobowej łodzi podwodnej do penetrowania dna jezior, sanie napędzane silnikiem motocykla... Kiedy część poddasza zamieniłem na "Teatr na strychu", wystawiając hałaśliwe sztuki.

Ojciec nie protestował nawet wtedy, kiedy obwieściłem, że zostanę świętym zakonikiem i będę chodzić po powierzchni wody. Z pobłażaniem przyglądał się moim postom, umartwianiu ciała, modlitwom, studiowaniu Żywotów Świętych Pańskich, chodzeniu codziennie na mszę i przystępowaniu do komunii. Ten niepokój mojego ducha pochwaliła nawet matka.

Kiedy po kilkunastu tygodniach przygotowań i ćwiczeń nie potrafiłem dokonać cudownego wyleczenia głuchoniemej sąsiadki, usunąć liszaja z twarzy kolegi, a lustro wody w kanale nie chciało twardnieć pod moimi stopami, postanowiłem zostać pisarzem i podróżnikiem.

Napisałem kilka wierszy patriotycznych, porwałem się na poemat o miłości, jednocześnie rozpocząłem pisać powieść przygodową. Wówczas zrozumiałem, że moje doświadczenie w tej materii jest znikome. Czytając kolejne tomiki wierszy, opowiadań, powieści, dzienników, rozpraw filozoficznych... podglądałem pisarzy w ich pracy. Ani się spostrzegłem, kiedy miejsce modeli na półkach zajęły książki.

Niecierpliwym, czytałem dwie, trzy książki na raz. Przed południem wyobraźnia wędrowała po krągankach, wieżach, zamkach średniowiecznych zamczysk, po południu pokonywałem wraz z karawaną pustynne bezdroża Sahary, wieczorem uczestniczyłem w lotniczej bitwie o Londyn. Postanowiłem przeczytać wszystkie "ważniejsze" książki świata. Długo wierzyłem, że to możliwe. Mój duch był tak niespokojny, tak zachłanny w swoim niepokoju, że bez trudu uwierzyłem w swoje nieograniczone możliwości.

Oto plan życia wykoncypowany przez owego niespokojnego ducha: opanować możliwie największy obszar wiedzy technicznej, dużo czytać, robić wynalazki, podróżować, pisać, obejrzeć sporo filmów, sztuk teatralnych i... kochać. Wyjątkowo niewyraźnie jawiła się koncepcja miłości.

Doraźny plan - na czas studiów - obejmował dodatkowo: obwąchać dokładnie zakamarki Gdańska, Sopotu, Gdyni i Półwyspu Helskiego. Mój niespokojny duch czuł się najlepiej we własnym towarzystwie, zwłaszcza podczas długich spacerów uliczkami miasta. "Samego siebie nie przeskoczysz! Na cholere tak wkuwasz?" - pytali koledzy, zaciągając na wieczorki taneczne, do gry w karty. Wybierałem samotne zwiedzanie pustych kościołów, muzeów, galerii, cmentarzy, dworców, portów, uliczek, promenad... Przypadek prowadził moje kroki, przypadkowe skojarzenia uruchamiały nowe myśli. Zrozumiałem: największą przygodą człowieka jest nie wysychające źródło i strumień jego myśli.

To niespokojny duch, Panie, wykrzesał z kamienia ogień, wydłubał z pnia czółno, wymodelował kształt wiosła, wymyślił koło, łożysko. Rozzuchwalony zbudował prądnicę, zapalił żarówkę, wynalazł telefon, radio, telewizor... Uparty destylował ropę naftową, benzynę rozpylił w gaźniku, w cylindrze zapalił iskierkę, napełnił dętkę powietrzem i pomknął przed siebie. Ba, rozpostarł skrzydła i poszybował nad światem.

Niespokojny... Przewędrował krainy wszystkich kontynentów, ciekawość zawiodła go w głębiny mórz, na szczyty najwyższych gór, a teraz mierzy odległości do gwiazd.

MYŚLI W BIEGU

Często powtarzam, Panie, piękne, trafne słowa poety: "Nie zdoła ogień ani miecz powstrzymać myśli w biegu".

Ale od zarania w gromadzie - od momentu kiełkowania pierwszych myśli w głowie homo sapiens, od chwili kiedy wążiutki jeszcze strumyczek owych myśli szukał ujścia w gestach, w słowach - usiłowano go kierować w określone koryta, rozpraszać, zamulać... Od zarania władcy grup ludzkich usiłowali manipulować strumieniem myśli i każdy chwyt był dobry, jeżeli tylko pozwalał zapanować nad owym tajemniczym misterium mózgu.

Moje myśli nasiakają obrazami otaczającej mnie rzeczywistości XX wieku. To rzeczywistość, w jakiej żyję, zmusza mnie do stawiania pytań, na które usiłuję trafnie odpowiedzieć. I nikt nie powinien, i nikt nie może mieć do mnie żalu, że moje myśli nie pokrywają się z jego myślami, że moje widzenie świata odbiega od przyjętego nawet powszechnie.



Nigdy dotąd nie usiłowałem, Panie, swoich myśli, swojego widzenia świata narzucać komukolwiek. Owszem, z człowiekiem myślącym mogę szczerze dzielić się swoimi wątpliwościami, swoją nadzieją. Ale do moich "odkryć" nie nakłaniam nikogo.

A jeśli spotykam inaczej myślącego, z ciekawością słucham opisu rzeczywistości takiej, jaką widzi. Usiłuję zrozumieć jego "świata koło". Nawet wtedy, gdy dostrzegam w opowiadaniu braki, zamazania, przeinaczenia... Nie protestuję w imię swojej racji. Pytam - ostrożnie, delikatnie - o brakujące ogniwa w faktach.

Niestety, niemożliwy jest jakikolwiek dialog z człowiekiem ograniczonym, fundamentalistą, nawiedzonym... Słuchając takich ludzi, zastanawiam się, jaki błąd w ich mózgu wytwarza taki opaczny obraz, który namacalnie mija się z rzeczywistością. Pozostaje milczenie. Fanatyzm, głupotę i dziecinną naiwność trudno racjonalnie wytłumaczyć.

Nie pojmuję też, Panie, mentalności ludzi-owieczek, ludzi-baranków stłoczonych wokół pasterza. Pasterze i stada baran-

ków stanowią niebezpieczny anachronizm w połowie XX wieku. To przecież tacy pomyleni pasterze, wykorzystując swój autorytet, swoją władzę, otumaniali i kierowali do walki na śmierć dziesiątki milionów ludzi.

Kiedy przyglądam się ceremoniom dla wielbienia pasterza, wodza, autorytetu moralnego, ojca narodu, kiedy widzę szaleństwo zbiorowego zachwytu, ogarnia mnie zażenowanie i wstyd. Przerażają mnie stada owieczek pozbawionych zdrowego rozsądku, otumanionych, ogłupionych byle haselkiem.

Powtórzę, Panie, mocne słowa Einsteina: "Twórcza i czująca osobowość, ona to tylko tworzy rzeczy szlachetne i wzniosłe, podczas gdy stado, jako całość, jest tępe zarówno w swym myśleniu, jak i w odczuciu".

Pasterze o tym doskonale wiedzą.

*Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

Obrazek z urlopu absolwenta



Austria, kemping koło Klagenfurtu

Byłoby lato 1968 roku. Namówieni przez naszych światowych przyjaciół i upewnieni co do niezawodności naszej dwuletniej Syreny 103, postanowiliśmy wybrać się na dwutygodniowy urlop do Włoch. Owi światowi przyjaciele załatwili nam obowiązkowe wówczas zaproszenie od swego znajomego z Florencji, można było kupić legalnie troszkę dolarów na osobę, była też obietnica, że we Florencji dostaniemy od tegoż znajomego 150 dolarów. Wartość ich mieliśmy po powrocie zwrócić w Polsce naszym przyjaciołom po umówionym kursie. O dalszy ciąg rozliczeń nie pytaliśmy. Dzieci nasze poszły na wieś do dziadków, a ja z żoną i z koleżanką z pracy a jednocześnie żoną tegoż światowego znajomego wyruszyliśmy w ostatnich dniach lipca. Od razu pierwszy dzień zaczął się przygodą. Koleżanka żony, a zarazem nasza współtowarzyszka, wyjechała wcześniej w swoich sprawach do Częstochowy i mieliśmy się z nią spot-

kać następnego dnia o siedemnastej na częstochowskim dworcu PKP. Dokumenty wyjazdowe załatwiał nam PZMot, który wówczas mieścił się w Gdyni, Odbiór ich był wyznaczony właśnie na dzień wyjazdu, więc rano o 8.00 załadowani sprzętem kempingowym, jedzeniem i różnymi medykamentami (od uroku) zjawiliśmy się we dwójkę z żoną w Gdyni i szybko zakończyliśmy formalności. Wsadziliśmy paszporty, ubezpieczenia, dolary i zaproszenia do ceratowej szaszki i wzięliśmy kurs na Częstochowę. Po półtorzej godzinie jazdy, już sporo za Tczewem, coś pokusiło nas obejrzeć się do tyłu, gdzie przy tylnym oknie samochodu powinna była leżeć szaszka. O zgrozo, szaszki nie było. Po krótkiej analizie sytuacji zawróciliśmy do Gdyni. Szaszka była w biurze PZMot. Miłe panie urzędniczki powiedziały nam, że już zawiadomiły Milicję Drogową, aby nas szybko złapali na drodze i zawrócili. Znały przecież wszystkie nasze dane. Z biura PZMot-u zatelefonowaliśmy jeszcze do męża naszej towarzyszkii Eli, żeby wiedział i starał się Elę zawiadomić o przewidywanym naszym spóźnieniu do Częstochowy minimum o cztery godziny. Ruszyliśmy ostro znów na południe. W połowie drogi między Gdańskiem i Tczewem wykiwał nas milicjant. Ucieszyliśmy się, że drogówka sprawnie działa po alarmie z PZMot-u, ale okazało się, że chodzi o przekroczenie szybkości i trzeba zapłacić mandat. Trwało to długo, bo jak zwykle w takich przypadkach milicjant wypisywał mandat demonstracyjnie wolno. Straciliśmy cenne minuty. Gnaliśmy potem, ile syrenka wydoliła, co nie było łatwe, bo w owych czasach i szosa były węższe, i ciężarówki wlokły się i tarasowały przejazd, a długi odcinek szosa od Łęczycy do Łodzi był wybrukowany straszliwymi "kocimi łbami", nie było też objazdów w Łodzi i wlekleśmy się ulicą Piotrkowską, przystając co sto metrów na światłach. W Częstochowie byliśmy przed dziewiątą wieczorem.

Ela cierpliwie czekała na dworcu, bo gdy opóźnienie było już zbyt podejrzane, zatelefonowała "błyskawicznie" do męża i dowiedziała się prawdy.

Przez biuro zakwaterowań przespaliśmy się w ładnym i czystym pokoju i rano jechaliśmy dalej. Załadowaną syrenę zostawiliśmy na noc bez obawy na ulicy. Wtedy nie było obaw. Koszmarem był przejazd przez Górny Śląsk w drodze do Cie-

szyna. Uliczki i szosy były ciasne i zatłoczone. Po przejściu granicy wyliczyliśmy, że zdążymy na nocleg do Bratysławy i po drodze zwiedziliśmy ruiny zamku w Trenczynie. Kasujący bilety wstępu starszy pan zapytał nas, czy przywieźliśmy z Polski papierosy carmeny i był niepokieszony, że mamy tylko chesterfildy, które znajomi w Polsce zachwalali nam, że idą w Czechosłowacji jak woda. Nikt ich nie chciał, a o carmeny pytano nas jeszcze kilkakrotnie. Po noclegu w Bratysławie na kempingu, wjechaliśmy do Austrii. Na granicy kazali nam otworzyć bagażnik, by sprawdzić, czy nie przewozimy blindziarza, i na tym się skończyło. Miły pan przybił nam pieczętkę w paszportach i życzył dobrej drogi. A w bagażniku blindziarza nie mogło być, bo był on pełen prowiantu na dwa tygodnie, między innymi słoń topionego smalcu z cebulą, ziemniaki w proszku, kasze, konserwy, herbaty i nawet kanister z rozcieńczonym benzyną olejem do dwusuwu, żeby nie płacić dolarami za olej. Zresztą na zachodzie dwusuwu już zanikały.

Wjazd do Austrii był jak do krainy z bajki. Domy czyste i kolorowe, płoty pomalowane różnobarwnie, pełno kwiatów i różnych reklam, światełek i innych piękności tak różniących się od szarzyzny krajów zza żelaznej kurtyny. Przed wjazdem do Wiednia, na wiadukcie kolejowym przebiegającym nad szosą widniał wielki napis: "Nerwen sparen, Bahnen fahren", co oznacza: "oszczędzać nerwy, jechać koleją". Miało to już sens, wobec nasilającego się ruchu samochodowego. W Wiedniu, mimo posiadanego planu miasta, zrobiliśmy kilka rundek, kłucząc po jednokierunkowych ulicach, napotykając co chwile zakazy parkowania, i wracając wielokrotnie na to samo miejsce. Spędziliśmy dwie noce na podwiedeńskim kempingu i zdążyliśmy obejrzeć Shtönbrunn, katedrę św. Stefana i Hofburg. Zjedliśmy też pierwszy i jedyny obiad za dewizy. Mało było jednego dnia na Wiedeń, ale czas naglił. Celem były Włochy. Jechaliśmy na południe do Klagenfurt krajobrazowo piękna droga.

Trudno opisać lesiste góry, między którymi wila się szosa, i na zboczach których widne były zamki i pałace, wieczorem oświetlone. Jechaliśmy przez Bruck i przełęcz Semmering. Autostrady wówczas jeszcze nie było. Podczas drogi pozwoliliśmy sobie raz na kupno lodów na patyku, z takiej kolorowej reklamowej planszy, jakie obecnie w Polsce widać w każdym niemal sklepie. Przełęczą Semmering straszono mnie w Polsce, że jest strasznie stroma i syrena będzie miała trudności. Przejechaliśmy ją niemal niezauważwszy, lekko i bez problemu. Droga z Krakowa do Zakopanego i z Bukowiny do Morskiego Oka, którą wiele razy syreną przejechałem, jest dużo trudniejsza.

Nocleg wypadł w Karyntii nad jeziorem Ossjackim. Nazwa pochodzi od miejscowości Ossjak, gdzie według legendy dokonał żywota Bolesław Śmiały i gdzie przy kościele jest prawdziwy, lub domniemany, jego grób. Grób ten odwiedziliśmy w 26 lat później, czyli w 1994 r.

Granica austriacko-włoska była nową niespodzianką. Było chyba 6 pasów jezdnych w obie strony i po sześć stanowisk kontroli granicznej. Na każdym pasie sznur samochodów. Siedzący w budkach kontrolerzy nie tyle sprawdzali dokumenty, ile popędzali kierowców do szybszej jazdy. Jedynie "demoludom" musieli stawiać pieczętki, inni tylko machali paszportami przez okna i przejeżdżali. Każdy kierowca-turysta dostawał w biegu "carte carburante", czyli dokument upoważniający do zakupu benzyny z bodaj 40% zniżką na czas pobytu. Jechaliśmy w kierunku Wenecji. Droga od granicy prowadziła początkowo stromo w dół trawersem obok ściany skalnej. Częste były znaki drogowe ostrzegające przed lawinami kamiennymi. Stały

też tablice informujące o wielu zakrętach, np. "6 curve". Zjazd wydawał się tak stromy, że obawiałem się o drogę powrotną. Okazało się to złudzeniem, bo powrót był łatwy i nie czuło się stromizny. Na Wenecję przeznacziliśmy dwa dni i trzy noce. Po drodze wykupiliśmy bony na zniżkową benzynę, deklarując 13 dni pobytu. Kupiliśmy bonów na 130 litrów, co mojej syrenie dało 1600 kilometrów jazdy. Prawie starczyło. Pod koniec pobytu kilka litrów musiałem kupić bez zniżki. Przepis był taki, że jeśli ktoś był we Włoszech krócej niż zadeklarował, to musiał na granicy zwrócić nadwyżkę pieniędzy. Przy wyjeździe przekonalismy się, że nikt tego nie sprawdzał.

W Wenecji zwiedziliśmy to co trzeba, a więc pałac dożów, katedrę św. Marka, mieszkanie patrycjuszowskie, muzeum i obeszliliśmy miasto. Pojechaliśmy też waporetem na wyspę Lido, ale tam widać było tylko restauracje i odgrodzone parkanem płatno i bardzo drogie plaże. Gondolą nie pływalismy, bo za drogo. Jednego dnia zostawiłem syrenę na dużym dojazdowym wiadukcie przy innych gęsto postawionych autach i po powrocie zastałem za wycieraczką mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Inne samochody też to miały. Miałem się też stawić do "commando vigili". Adres był podany. Trochę nas to zmartwiło, bo z forszą było krucho, ale lojalnie poszedłem do tej komendy. Policjant, który mnie przyjął, gdy stwierdził, że jestem Polakiem, gęba mu się rozjaśniła, krzyknął "va bene, va bene" i rzucił mandat do kosza. Następnego dnia pojazd zostawiliśmy przy namiocie, a do miasta pojechaliśmy autobusem. Koło Ponte Rialto kupiliśmy tanio ładny, czarnoczerwony koc. Gdy straganiarz usłyszał, że chcemy jeden koc, zakrzyknął: "Polacco uno koco? Polacco multo koco". Zdziwiony był, że Polacy, którzy wówczas gromadami jeździli do Włoch kupować różne towary na handel, są tacy skromni. Pozwoliliśmy sobie też - panie na kawę, a ja na coca-colę. Po sto lirów za porcję. To były jedyne wydatki, prócz biletów wstępu do ciekawych miejsc. Przez cały pobyt w Italii kupowaliśmy do jedzenia tylko chleb, kilka razy morele i raz arbuza. To były najtańsze owoce. Bilety wstępu były na ogół po 100 lirów. Czasem 300. W Rzymie i Florencji trafiały się po 500 lirów. Jeden dolar kosztował ponad 600 lirów. Po wyjeździe z Wenecji zaczął nawalać samochód. Jeżeli szybkość przekraczała 60 km/h, przerywał pracę jeden cylinder. A silnik miał tylko dwa cylindry. Zorientowałem się, że przepalił się jeden z kondensatorów przy przerywaczu i wymieniłem go szybko. Pomogło, ale nie na długo. Po kilkudziesięciu kilometrach powtórzyło się to. Miałem trzy zapasowe kondensatory i znów wymieniłem. Ale straciłem na pewności siebie. Robiłem to w Ferrarze, gdzie panie poszły zwiedzać zamek, a ja przejrzałem układ zapłonowy. Pan, który oprowadzał panie po zamku, okazał się jakimś historykiem sztuki, i przez sympatię dla Polaków zrobił to za darmo. Przestrzegł je też, aby nie chodziły po Włoszech bez towarzystwa mężczyzny, a szczególnie wieczorem. Kobieta bez mężczyzny na ulicy kojarzy się przeciętnemu Włochowi z istotą lekkiego prowadzenia się.

Z Ferrary ruszyliśmy do Florencji, gdzie chcieliśmy zabawić trzy dni. Pod koniec etapu spalił mi się ostatni kondensator i późnym wieczorem musiałem na jednym cylindrze wyładowanym samochodem wjechać na kemping, pod górę, w tłoku innych aut. Syrena to był jednak niezawodny samochód, nawet gdy był niesprawny. Za 350 lirów kupiłem czwarty kondensator. Bałem się o dalszą jazdę, a skorzystanie z warsztatu we Włoszech odwlekałam, licząc, że sam znajdę błąd. Obie panie bezgranicznie wierzyły w moją techniczną smykalkę i nie przejawiały zbytnich obaw. Ela poszła do swojego znajomego pana i dostała obiecane 150 dolarów, co poprawiło nam nastroje. Już



Rzym, Koloseum; tu zostawiono torbę z dokumentami i dewizami

nie będę wymieniał, cośmy zwiedzili, bo prawie wszystko, co najważniejsze. W jednym z kościołów znaleźliśmy groby Polaków, w tym Kleofasa Ogińskiego, kompozytora znanego, patriotycznego poloneza. W sklepiku przy starym moście żona kupiła sobie mały pierścionek z akwamaryną, za skromne dolary, które dostała od ojca na ten cel przed wyjazdem. Idąc jedną z ulic Florencji, żona pokazała stary dom i orzekła, że w nim na pewno mieszkał Dante Alighieri. Po sprawdzeniu w przewodniku okazało się, że dobrze trafiła. Była niezmiernie dumna z tego celnego strzału. Muszę tu dodać, że moja żona ma oko do zabytków i staroci, i choć historii sztuki nie studiowała, to intuicyjnie, nieomylnie poznaje co jest czym.

Mieszkaliśmy na pięknym, parkowym kempingu "Michelangelo", którego jedyną wadą było to, że nocą bardzo głośno hałasowały roje cykad, nie bardzo dając spać. Urzędniczka w recepcji, gdzie regulowaliśmy rachunki za pobyt, wyraziła nam radość, że mogą gościć Polaków, i żal, że znaleźliśmy się w sytuacji utrudniającej nam liczniejsze przyjazdy do Italii.

Jedno popołudnie poświęciłem na całkowite rozebranie układu zapłonowego samochodu, chcąc znaleźć przyczynę powtarzających się niesprawności. Przy tej pracy zastali mnie dwaj młodzi ludzie i spytali po angielsku, dlaczego sam grzebię w silniku, a nie oddaję samochodu do warsztatu? Cóż mogłem odpowiedzieć? Powiedziałem, że to samochód polskiej produkcji, nieznany nigdzie poza naszym krajem i że majsterkowanie, to moje hobby. Pokiwali głowami ze zrozumieniem i powtórzyli kilkakrotnie po cichu: "It is Polish, it is Polish". Skończyłem przegląd z nadzieją, że niesprawność się nie powtórzy.

Po trzech dniach we Florencji ruszyliśmy dalej do Rzymu. Cały czas autostradą "Dei Sole" z pięknymi widokami, tunelami i wiaduktami. Wbrew polskim opiniom sprzed wyjazdu, nikomu na autostradzie nie zawadzałem, nikt mi kółek na czole za syrenę nie kręcił, ani nie trąbił. Nawet zdarzało mi się czasem kogoś wyprzedzić. A w ogóle to Włosi lubią trąbić, szczególnie na przejściach dla pieszych, gdy widzą, że przechodzi przystojna kobieta. To coś w rodzaju fanfar, przy rygorystycznym przestrzeganiu pierwszeństwa pieszych na zebrawach.

Jechaliśmy do Rzymu w niedzielę. Po ujechaniu około 50 km znów silnik zaczął prychać i historia się powtórzyła. Zjechałem do najbliższej stacji benzynowej i porozumiewając się w kilku językach, z łaciną włącznie, dowiedziałem się, że potrzebny mi jest "eletrauto", i że taki ma w niedzielę otwarty zakład w pobliskim miasteczku o nazwie "Monte Sansavino". Znalazłem tego eletrauto i pokazałem, co nie gra. Pojął natychmiast, o co chodzi, i macając kabelek łączący cewkę z przerywaczem znalazł szybko przerwę w przewodzie. W kilka minut wymienił kabelek, dał nowy kondensator, kazał zrobić próbną rundkę, wziął duo mille lire (dwa tysiące lirów), czyli około trzech dolarów, i pojechaliśmy bezawaryjnie dalej. Na tym kondensatorze jeździłem później przez cały czas przebywania syreny w moich rękach, czyli około 10 lat. Po naprawie z radości i rozstargnienia zostawiłem u niego mały polski wkretaczek. Miał pamiątkę po polskiej syrence.

Na Rzym przeznacziliśmy cztery dni. Zainstalowaliśmy się też w ładnym parkowym kempingu i do miasta jeździliśmy autobusem, aby nie mieć kłopotów z parkowaniem. Pierwszego jednak dnia, zaraz po przyjeździe, postanowiliśmy pojechać syreną, aby zobaczyć Starą Drogę Appijską (Via Appia Antica). Było popołudnie. Na wstępie wpakowaliśmy się w spory tłok samochodów, jadących z przeciwka. Rzymianie właśnie wracali znad morza po niedzieli. Ten tłok minął na Starej Drodze Appijskiej, bo wspomniane samochody wracały Nową Drogą (Via Appia Nuova). Stara, zachowana w pierwotnym stanie droga, mimo że utwardzona, była nierówna i wyboista. Zobaczyliśmy kościół św. Sebastiana, sławny z najciekawszych i najbogatszych katakumb starochrześcijańskich. Tabliczka na bramce informowała, że dla turystów wstęp do godziny 17.00, a już było kilka minut po. Stanęliśmy smutni i w tym momencie pojawił się młody mnich i zapytał, czego sobie życzymy? Udało nam się wytłumaczyć, że jesteśmy z Polski i tracimy może jedyną okazję zwiedzenia katakumb. Natychmiast otworzył furtkę i wprowadził nas do środka, przyjmując rolę przewodnika. Nie tracąc czasu na bilety, wprowadził nas do podziemi. W ogóle zauważyliśmy już wcześniej, że słowo Polonia było magicznym kluczykiem, otwierającym nam zamknięte i formalnie niedostępne rewiry. A także włoskie serca. Zwiedzanie katakumb było niesamowitym przeżyciem, tym bardziej, że byliśmy nie w tłumie, a tylko we czworo. Były to nie tylko miejsca pochówku pierwszych chrześcijan, ale i sale modlitwy, miejsca zebrań i posiłków. W jednej z wnęk pokazał nam mniszek dwa wgłębienia, wyciśnięte według tradycji przez kolana modlącego się św. Piotra, czy Pawła - już nie pamiętam. Katakumby były wielopoziomowe i często trzeba było wchodzić i schodzić po stopniach i drabinkach. Zauważyliśmy, że mniszek zawsze pierwszy idzie w dół i ostatni w górę. Obie panie miały na sobie lekkie i przewiewne sukienki i spoglądanie z dołu do góry było chyba niezłą atrakcją dla młodego zakonika. Na koniec chcieliśmy mu dać coś na ofiarę, ale nie przyjął i obdarował nas krzyżykami z oczkami wypełnionymi prochem z katakumb i medalikami z wizerunkiem św. Sebastiana.

Przy Via Appia stoi niewielki kościółek murowany z napisem "Quo vadis Domine?". Trochę mi się to nie zgodziło z tym, co pisze Sienkiewicz, bo w epilogu dzieła Sienkiewiczowskiego, maleńka kapliczka z zatartym nieco napisem "Quo vadis Domine?" stoi wedle Bramy Kapeńskiej. Na mapie Rzymu miejsce z napisem "Porta Capena" znalazłem wcale nie przy Drodze Appijskiej, lecz zupełnie gdzie indziej. Piotr i Nazariusz uchodzili Drogą Appijską, co się zgadza, a napis na wspomnianym kościele nie jest zatarty, lecz duży i wyraźny. Ale może

w czasach Sienkiewiczowskich było inaczej, a może to "licentia poetica?"

Wracając z Drogi Appijskiej zagapiłem się i wjechałem prawym przednim kołem na duży kamień, który potem zawadził o podwozie i urwał mi tulejkę do zamocowania samochodowego podnośnika. Nie mogłem tego zostawić bez naprawy. Znalazł się blisko warsztat, czynny mimo niedzieli, gdzie szybko przyspawali na powrót tulejkę i znów poleciało "duo mills lire".

Nie opiszę dokładnie czterodniowego zwiedzania Rzymu, ale kilka charakterystycznych scen przedstawię. Mieliliśmy zwyczaj niezostawiania naszych dokumentów w namiocie, lecz zawsze nosiła je moja żona w obszernej torbie. Chodząc po Koloseum, byliśmy nieco zmęczeni zwiedzaniem i strasznym upałem (lato stulecia) i przysiedliśmy na kilkanaście minut na dużym głazie wewnątrz tego olbrzymiego amfiteatru. Dookoła kręciło się sporo wycieczek i indywidualnie zwiedzających małych grup. Patrzyliśmy na ruiny, wyobrażając sobie igrzyska i starorzyską widownię, a może nawet coś pogryzaliśmy z torby dla pokrzepienia się. Po pewnym czasie wyszliśmy z cyrku i po przejściu kilkudziesięciu kroków żona spostrzegła, że nie ma torby. Przerażeni wróciliśmy pospiesznie na miejsce naszego odpoczynku i dostrzegliśmy nienaruszoną torbę, leżącą na głazie obok. Ulga była tak wielka, że nawet nie umieliśmy się cieszyć. Zwiedzając Watykan, szukaliśmy jakiejś ciekawej sali wymienionej w przewodniku, lecz z braku tabliczek kierujących nie mogliśmy jej znaleźć. Żona coś krytycznego powiedziała na ten temat po polsku, i w tym momencie podszedł do nas ksiądz i też po polsku spytał, w czym może nam pomóc? Ucieszyliśmy się bardzo, a on nie tylko wskazał nam drogę, ale opowiedział sporo ciekawych rzeczy o zabytkach. Nie miał dużo czasu, bo właśnie miał wprowadzić delegację amerykańskiej polonii do papieża. W Polsce potem dowiedzieliśmy się, że na pewno to był ksiądz Deskur, był on bowiem jedynym polskim duchownym naówczas w Watykanie, który doskonale orientował się w rzymskich zabytkach. Został później arcybiskupem i ważnym urzędnikiem papieskim. Żyje do dziś, choć choroba go unieruchomiła.

Ciężko jest zwiedzać Rzym. Ładunek wrażeń jest tak potężny, a muzeum watykańskie tak rozległe i bogate, eksponaty tak stłoczone blisko siebie, że po kilku godzinach oglądania do człowieka już nie dociera to, na co patrzy. Trzeba by poświęcić na zwiedzanie chyba kilka miesięcy i dawkować sobie wrażenia małymi porcjami, aby wszystko mogło dotrzeć do świadomości. Dokładne obejrzenie na przykład Kaplicy Sykstyńskiej graniczy niemal z cudem. Podczas naszej w niej bytności była ona tak zatłoczona, że trudno było zrobić krok naprzód. Prócz strasznego ścisku panował tam głośny gwar komentujących i podniesione głosy kilkunastu co najmniej przewodników, mówiących w różnych językach. Było przy tym duszno i gorąco i ze skwaru lata, i z natłoku ludzi. Ogrom piękna i wspaniałości sztuki ginęły zupełnie w tym rozgardiaszu.

Pozwoliliśmy sobie w Rzymie też na dwie kawy i jedną coca-colę. Też za 300 lirów. Nosiliśmy ze sobą plastikowe kubeczki, aby pić wodę z ulicznych poidełek, których we Włoszech jest sporo i mają czystą wodę. Gdyby nie to, wydalibyśmy fortunę na napoje i nie starczyłoby na powrót do kraju. A było to wszak lato stulecia i temperatura w cieniu sięgała we Włoszech 40°C.

Pełni nie do końca spełnionych wrażeń wyruszyliśmy następnie do Neapolu. Wybraliśmy już nie autostradę, lecz zwykłą szosę, aby z bliska oglądać koloryt Półwyspu Apenińskiego. Decyzja się opłaciła. Droga była żmudna, kręta i górzysta, ale widoki niepowtarzalne. Przejechaliśmy przez miasteczko Fron-



Rzym, Forum

sinone, dosłownie zawieszono na skale, w którym rynek był na szczycie góry, a reszta domków wisiała nad przepaściami. Tak położonych miasteczek widzieliśmy z oddali więcej. Dalej było Monte Cassino, cmentarz, chwila zadumy i czerwone maki. Zerwaliśmy jeden czy dwa, przyjechały one z nami do Polski i dotwały do dzisiejszego dnia zasuszone w "Encyklopedii Staropolskiej" Glogera. Podniosłem też mały kamyczek, który teraz leży na półeczce w pokoju. Czasu na zwiedzanie Neapolu już nie było. Przenocowaliśmy na kempingu Łago Patria w Pozzuoli i objeżdżając Neapol, szosą nad morzem dojechaliśmy do Pompei. Ruiny obeszliliśmy dość dokładnie, a jeden ze sprzedawców pamiątek ucieszył się na nasz widok i pochwalił się, że często wspomina miły romans, który dawno miał z Polką. Po drugim noclegu w Pozzuoli wszedłem do Morza Śródziemnego i szybko wyszedłem, bo wciąż ocierały się o mnie jakieś małże i głowonogi. Wszystkie te stworzenia są odławiane przez Włochów i służą za popularne pożywienie (frutti di mare). Kupić je można na licznych straganach, stojących w promieniach gorącego słońca i wydających niezbyt przyjemny zapach. Chyba tylko wypijane w dużych ilościach wino chroni Włochów przed nistrawnościami.

Po noclegu był już tylko szybki powrót, 500 kilometrów do Florencji pokonaliśmy autostradą w 6 godzin, co dla syreny wraz z dojazdami z kempingu i na kemping było dużym wysiłkiem i sukcesem. Przespawszy się w towarzystwie wrzeszczących cykad, gnaliśmy już do granicy. Po drodze przystanęliśmy w Padwie, aby obejrzeć zabytkowy uniwersytet i pomodlić się przy grobie św. Antoniego, dziękując za szczęśliwą jazdę i prosząc o opiekę podczas powrotu. W uniwersytecie, gdzie na ścianach były nazwiska i herby sławnych absolwentów, odczytaliśmy kilka poloników.

Na przejściu granicznym w Vilah była przygoda z Rosjanami. Zatrzymaliśmy się, aby podpieczętować paszporty. Graniczny funkcjonariusz mrugnął na nas porozumiewawczo, wskazał ręką w kierunku ściany skalnej i powiedział: "Schau, schau - Ruski" ("Patrzcie, patrzcie - Rosjanie"). Spojrzeliśmy i zobaczyliśmy pod zboczem grupę stojących w szeregu motocyklistów, w jednakowych kombinezonach, przy swoich maszynach. Ich pilot czy kierownik załatwiał formalności



Wenecja, Most Westchnień

paszportowe, a oni stali nieruchomo, jak na musztrze. Dziwnie wyglądały i te kombinezony w skwarny dzień, i ta nieruchomość, gdy wszyscy inni byli odziani wakacyjnie, zachowywali się swobodnie, chodzili po placu, tankowali benzynę. Coś kupowali i rozmawiali. Ja też podjechałem pod dystrybutor, a rozlewający paliwo do mnie to samo: "Schau, schau - Ruski". Byli ci Rosjanie dla wszystkich sensacją, jakby na południu Austrii pojawiły się na granicy krokodyle lub hipopotamy. A tylko dlatego, że zachowywali się inaczej niż reszta mieszkańców kuli ziemskiej. A było na granicy różnej maści mieszkańców globu pełno, i to z najróżniejszych stron. My w syrence we trójkę poczuliśmy się podniesieni na duchu, bo choć byliśmy też zza żelaznej kurtyny i obarczeni syndromem radzieckiej dominacji, to tymi słowami "schau, schau - Ruski" potraktowano nas jak swoich, Europejczyków, jak ludzi ze wspólnoty zachodniej, o wspólnej kulturze. Te słowa wypowiedziane po niemiecku, i to niezależnie przez dwóch ludzi, były symbolem, pociechą i podbudowaniem. Wzruszyliśmy się niemal do łez. A w ogóle i nieznanym na Zachodzie typ samochodu, i symbol PL na tylnej szybie, i słyszane nasze rozmowy powodowały, że podczas całej podróży podchodzili do nas różni ludzie, z różnych krajów, aby porozmawiać i popytać o to i owo. Nigdy nie spotkał się z odruchem niechęci czy wyższości. Odwrotnie - zawsze z sympatią i życzliwością.

W Austrii przespaliśmy się na kempingu koło miasta Klagenfurt i postanowiliśmy wracać inną drogą, dla nowych wrażeń. Wybraliśmy trasę przez Salzburg i Linz do Pragi, aby już w Polsce wstąpić do naszych kuzynów w Otmuchowie koło Nysy. Szosa z Klagenfurtu do Salzburga okazała się stroma, wąska i bardzo kręta. Na mapie zaznaczono pochylenie przeszło 25%. A tu lato stulecia i 40° C. W samochodzie można było wytrzymać tylko podczas szybkiej jazdy przy otwartych oknach. Jechaliśmy pod górę, a upał nie malał. Temperatura w chłodnicy dochodziła do punktu granicznego. Jechać musiałem wciąż na pierwszym biegu, bo ostre zakręty nie pozwalały na rozpędzenie się i włączenie drugiego. Szosa wąziutka, z lewej strony ściana skalna, a z prawej przepaść. Bałem się nieco, bo już w Neapolu zauważyłem małe bąbelki wydobywające się z wody w chłodnicy po wyjęciu korka. Świadczyło to o uszko-

dzeniu uszczelki pod głowicą silnika. Wody co prawda nie ubywało, więc do cylindrów się nie dostawała, ale nie było idealnie. Miałem zapasową uszczelkę, ale nie chciałem demontować głowicy na obczyźnie bez awaryjnej potrzeby. Było coraz bardziej stromo. Przy szosie co kilkaset metrów były małe parkingi, gdzie odpoczywały samochody, i to dużo lepszej klasy niż mój dwucylindrowy dwusuw. To mnie pocieszało. Po szosie śmigały tam i z powrotem "garbusy" z liną i hakiem z napisem "Strassenhilfe", aby w razie awarii ściągać nieszczęśliwców na bok, by nie tarasowali przejazdu. A jechało się w rzędku, jeden za drugim, wolniutko. Odpoczywałem na tych polankach, ulewając z chłodnicy gorącej wody i dolewając po troszeczkę zimnej. Wreszcie na jednej z polanek spytałem przygodnego człowieka, jak daleko do szczytu. Okazało się, że tuż za zakrętem, około 200 metrów. W sumie tej wspinaczki było około 6 kilometrów. Szczęśliwi dojechaliśmy do szczytu i zrobiliśmy dłuższy postój. Była to przełęcz o nazwie "St. Michael". Tak mi wyszło z mapy. Podczas postoju podszedł do mnie jakiś jegomość i zapytał po polsku, jak stromo jest do Klagenfurtu? Odpowiedziałem, że około 6 km jechałem z przystankami na pierwszym biegu, ale ja mam tylko dwa cylindry i 28 KM. Odpowiedział, że ma Forda Taunusa i z przeciwnej strony też jechał cały czas na pierwszym biegu z przystankami. Był on synem emigranta z Polski, zamieszkałym w Holandii, i jechał z rodziną na urlop do Jugosławii. Po tej rozmowie zacząłem się z kolei bać o moje hamulce. Silnik dwusuwowy hamuje na luzie słabo więc nie bardzo mogłem na niego liczyć. Ale trzeba było jechać. Od razu zaczęła się wielka stromizna w dół. Silnik na pierwszym biegu i na luzie, bardzo wolniutko, i hamowanie na zmianę to nożnym, to ręcznym hamulcem. Nożny mocniej pracował na przednich kołach, i gdy zaczynało się z nich dymić, to przechodziłem na ręczny. Odpoczywaliśmy też na polankach. Tu z kolei miałem przepaść po lewej stronie, a skałę po prawej. Myślałem, że jak hamulce nie wytrzymają, to skrećę na skałę i zatrzymam się bez uszkodzeń, bo szybkość była minimalna, a zakręty znów bardzo ostre. Na szczęście dobry polski samochód te trudy wytrzymał, zjechaliśmy szczęśliwie i Salzburg był przed nami. Ominęliśmy go krajobrazową autostradą i gnaliśmy do Linzu. Wjeżdżając do tego miasta zauważyliśmy napis: "Jeżeli przez całe miasto zachowasz szybkość 60 km/h, to będziesz miał zielone światło". I tak było. Bez trudu osiągnęliśmy Pragę i nareszcie sprzedaliśmy tam nasze chesterfieldy, a za uzyskane korony nakupiliśmy śliwek i czereśni, które pochłonęliśmy natychmiast, tak byliśmy spragnieni swojskich owoców. We Włoszech były tylko nieliczne morele, czy brzoskwinie, i jeden arbus. Dojazd z Pragi do Otmuchowa i potem do Gdańska był bezproblemowy.

Uszczelka pod głowicą wytrzymała. Po powrocie niektórzy znajomi i koledzy w pracy pytali, czy syrena wzbudzała za granicą sensację, i czy ludzie się ze mnie śmiali, że jeżdżę przedpotopowym pojazdem? Odpowiadałem, że liczni Francuzi jeździli Citroenami 2CV, które też wyglądają nieszablonowo, a po drugie na Zachodzie nikt z kopytami w cudze sprawy nie wchodzi i szanuje się tam prywatność. Nie przekonało ich to. Mieli swoje polskie kompleksy, a ja tego nigdy nie rozumiałem.

W dwa dni po przekroczeniu granicy, a w dzień po powrocie do Gdańska, zaczęła się w Czechosłowacji praska wiosna 1968 i wkroczyły tam wojska Układu Warszawskiego.

Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej
(Wszystkie zdjęcia autora)

Z wielkim bólem zawiadamiamy, że 30 maja 1999 r. w wieku 59 lat zmarł nagle

śp. mgr inż. JERZY CIEPIEŁOWSKI

absolwent i wielce zasłużony pracownik Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej

Z uczelnią związał całe swoje 35-letnie życie zawodowe. Absolwent Wydziału Mechanicznego Technologicznego, specjalista ds. aparatury, znakomity inżynier-praktyk, wspomagający działalność dydaktyczną Wydziału. Był Człowiekiem niepospolitym, erudytą o szerokich zainteresowaniach humanistycznych, twórcą i znawcą historii studenckiego ruchu kulturalnego - należał do pokolenia *KATARYNIARZY*. Dla tych, którzy Go znali, stanowił niedościgły wzór pracowitości, koleżeńskości i uczciwości. Jak nikt potrafił nawiązać koleżeński kontakt ze studentami. Jako jeden z nielicznych został uhonorowany Złotą Odznaką za Zasługi dla Rozwoju Wydziału Mechanicznego.

Żegnamy nieodżałowanego, znanego całej społeczności akademickiej, cenionego i ogromnie lubianego "CIEPIEŁA".

Rodzinie oraz najbliższym osobom, które zajmowały poczesne miejsce w Jego Sercu serdeczne wyrazy współczucia składają:

**Rektor, Prorektorzy i Dyrekcja Uczelni,
Dziekan i Rada Wydziału Mechanicznego,
Pracownicy i Studenci Politechniki Gdańskiej**

Cyt. za: *Dziennik Bałtycki* 2.06.1999 r.

"CIEPIEL"

Wszystkich, którzy znali Jurka Ciepiewskiego, poraziła wiadomość o Jego nagłej śmierci w nocy z 29 na 30 maja 1999 r. Zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego Najwyższy zabrał Go już do siebie i to właśnie w dniu, kiedy dostarczył nam swoimi występiami niezapomnianych wrażeń? Zapewne długo pozostanie w naszej pamięci Jego wzruszające i piękne wystąpienie podczas III Otwartego Posiedzenia Parlamentu Studentów PG w Auli, poświęconego kulturze studenckiej. Wspominał kabarety i teatryki studenckie. Znał ich historię jak mało kto. Należał do pokolenia, które tworzyło kulturę studencką na Wybrzeżu po przełomie 56 roku. Był współtwórcą studenckiego Kabaretu π , działającego w latach 60. na Politechnice Gdańskiej. Zwykł z dumą podkreślać, że należy do pokolenia kataryniarzy. Często nostalgicznie, w nader licznych mądrych dyskusjach, wracał do swoich CUDOWNYCH LAT (taki tytuł nosi Jego artykuł wspomnieniowy opublikowany w "Piśmie PG" nr 5/95). Do Gdańska przybył z dalekiego Jasła po nieudanym starciu na Politechnikę Krakowską, i chwała Bogu! Nigdy tego nie żałował. Urzekła Go, jak mawiał, wspaniała architektura naszej Uczelni (gdzie mogły się z nią równać koszarowe budynki krakowskiej uczelni z czasów CK Austro-Węgier), a później atmosfera "Żaka" i "Kwadratowej".

Razem z nim mieliśmy łyzy w oczach w tamtą pamiętną sobotę 29 maja br., kiedy kończąc wystąpienie, powiedział: "Po moim kochanym teatryku o może dziwnej nazwie "Kabaret" zostało tylko wspomnienie, może legenda. Ale piękna. Piękna dla nas kabaretowiczów - pokolenia kataryniarzy i może dla tych, którym służyliśmy

rozrywką i którzy nas pamiętają. Były to przecież dla nas CUDOWNE LATA". W tym dniu odbyło się również tradycyjne spotkanie wielopokoleniowe w Żeliwiaku w Dolinie Radości, zorganizowane przez Koło Parlamentarzysty Stowarzyszenia Absolwentów PG. Patrzyliśmy z podziwem i niekłamanym zachwytem na występy Kabaretu π na czele z Jurkiem *Ciepiewem*. Ileż było w tym wszystkim autentycznej radości i młodzieńczej pasji oraz ogromnego talentu scenicznego! Jestem głęboko przekonany, że wszyscy, którzy usłyszeli niepowtarzalną interpretację skeczu *KROPKA* z cyklu "Z życia Uczelni" (tekst powstał na krótko przed występem) wybuchami śmiechu i oklaskami docenili umiejętności artystyczne Jurka.



Ileż poezji mieściło się w jego pantomimicznych *Balladach bez słów*. Tę trudną sztukę sceniczną opanował do perfekcji. Było w nim coś z Marcela Marceau. Występował, gdyż taką odczuwał potrzebę. Był amatorem, co zawsze podkreślał, ale przez to jego wypowiedź sceniczna była bardziej autentyczna. Jego artystyczne przesłanie wypływało z głębokiej potrzeby niesienia radości. Udowadniał to całym swoim działaniem.

Emanował nie tylko radością. Podziwialiśmy jego erudycję, znakomitą pamięć, a także życiową mądrość. Przejawiała się ona w codziennych kontaktach z ludźmi. Jakże on umiał słuchać i cieszyć się z sukcesów przyjaciół i kolegów! Jednakże konsekwentnie, na każdym kroku, walczył z głupotą i chamstwem. Zawsze stał w obronie słabszych. Bezinteresownie udzielał wszelkiej pomocy. Jedyna "zapłata", jakiej oczekiwał, to zwykle - ale szczerze - podziękowanie. Poza talentem artystycznym, posiadał

Ciepiel duże umiejętności manualne. Był przede wszystkim znakomitym inżynierem - praktykiem. Przyjaciele nazywali go *Mistrzem od naprawiania rzeczy nienaprawialnych*. Otrzymał nawet za to - żartobliwy - dyplom uznania, który wysoce sobie cenił.

Wspominając Jurka, nie sposób nie zacytować prof. Damazego Tilgnera, dr. honoris causa PG, który w jednym ze swoich wystąpień powiedział, że *"Człowiek tyle jest wart, ile daje drugiemu człowiekowi"*. *Ciepiel* całym swoim życiem znakomicie wypełniał tę misję. To prawda, nie napisał *ładnej księgi*, ani wielce uczonych dysertacji, gdyż inaczej pojmował świat i swoje w nim miejsce,

a mimo to najbliżsi nazywali go *Profesorem*. Kochał ludzi i my Go kochaliśmy.

Liczni uczestnicy uroczystości pogrzebowych w Jaśle oraz niezwyklej, żałobnej mszy świętej w intencji Jurka, odprawionej przez ks. dr. Krzysztofa Niedałtowskiego, Duszpasterza Środowisk Twórczych, w kaplicy przy kościele Św. Jana, a także mszy świętej z udziałem kolegów ze studiów z rocznika 68., z pełnym przekonaniem stwierdzili - *NON OMNIS MORIAR - NIE CAŁKIEM UMARŁEŚ* - w każdym z nas zostawiłeś cząstkę siebie.

Jerzy Kulas
Biuro Rektora



I ten uśmiech co mi w uszach dźwięczy,
I ten wzrok dobry, orli, przytomny,
I ten życia łądunek ogromny,
Uciekł do nieba na kolorach tęczy.
A uścisk dłoni twardej, mocny, szczerzy,
A zagonioną pochyloną postać
Dziś wspominamy. Mogłeś z nami zostać!
Tak los daruje i łamie kariery

31.05.1999 r.

Odleciałeś ciemną nocą. Jak ptak.
W przestrzeń gwiazdną. Do Boga.
Na ziemi Ciebie będzie nam brak,
A do nieba daleka droga.
Zabrała nam Ciebie Muza zazdrosna,
którą tak kochałeś, Ty niepowtarzalny.
A byłeś jak wieczna wiosna.
Zawsze jesteś z nami - tylko niewidzialny.

9.06.1999 r.

Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą

Z niedowierzaniem przyjęliśmy wiadomość o tragicznej śmierci naszego Kolegi i Przyjaciela

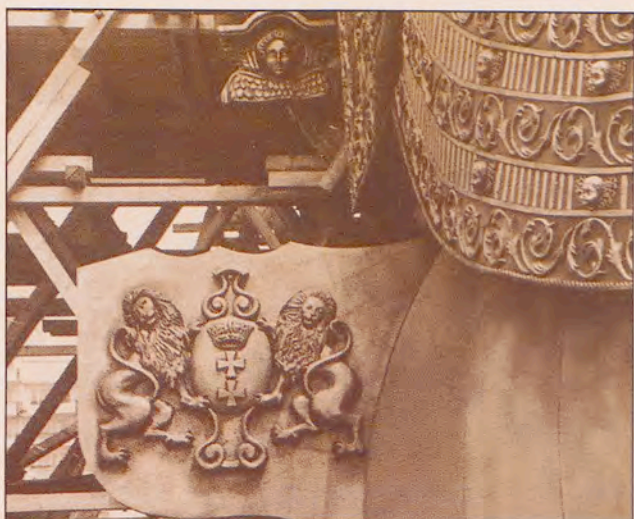
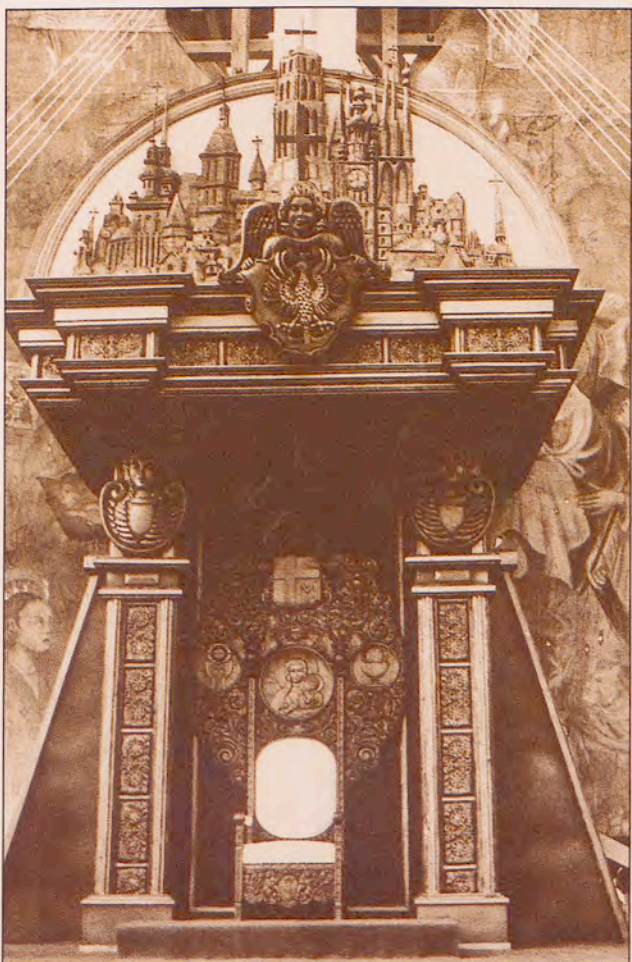
śp. JURKA CIEPIEŁOWSKIEGO

"CIEPIELA"

Jakże trafną jest poetycka konstatacja *"SPIESZMY SIĘ KOCHAĆ LUDZI, TAK SZYBKO ODCHODZĄ"*. Był urodzonym poetą - aktorem i znakomitym inżynierem. Miał zbyt duże serce dla jednej miłości. Kochał młodzież studencką i dlatego pozostał wierny *"POLIBUDZIE"*. Tutaj czuł się najlepiej. To była Jego autentyczna ALMA MATER. W tej niezwyklej postaci o niesamowitym spojrzeniu widzieliśmy dobroć i mądrość, przyjaźń i miłość, nietolerancję dla głupoty i nonkonformizm życiowy. Każdy z nas zadaje sobie pytanie, czyż możemy zapomnieć Jego inteligentne podteksty satyryczne na naszą uczelnianą, i nie tylko, rzeczywistość? oraz: jak będą wyglądały coroczne spotkania Parlamentarzystów bez "Ciepiela" i Jego Kabaretu π ? Bawił nas i wzruszał. Jeszcze kilka godzin przed tragiczną śmiercią byliśmy zachwyceni Jego wystąpieniem podczas III Otwartego Posiedzenia Parlamentu Studentów PG, którego tematem była kultura studencka. Dzisiaj wiemy, że wieczorny występ Kabaretu π był ostatnim benefisem CIEPIELA - przedstawiciela pokolenia KATARYNIARZY, który potrafił jak nikt budować pomosty międzypokoleniowe. Zapewniamy, że *BĘDZIEMY PAMIĘTAĆ O OGRODACH ...*

Koło Parlamentarzysty
Stowarzyszenia Absolwentów PG i Przyjaciele z Politechniki Gdańskiej

Cyt. za: Dziennik Bałtycki 2.06.1999 r.



Ołtarz Papieski, 1987 r., detale



Fot. T. Chmielowiec

Gdańsk-Zaspa, 12 czerwca 1987 r.